



PISMO MŁODZIEŻY
I. Państw. Liceum i Gimnazjum
Im. 1-go Marszałka Polski
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Rok XIV

Grudzień 1938 r.

Nr 415

Styczeń 1939 r.

*I tyle tęcz zapalisz na swym niebie,
Ileś za młodu życia wchłonał w siebie.*

„PROMIEŃ”

Miesięcznik Młodzieży I. Państw. Liceum i Gimnazjum
im. I. Marsz. Polski J. Piłsudskiego w Ostrowie-Wlkp.

Kierownik Wydawnictwa — Red. Odpowiedzialny — Redaktor Naczelny
K. Woschke Prof. dr J. Jachimiek Rajski T.

ROK XIV GRUDZIEŃ 1938 R. — STYCZEŃ 1939 R. NR 4 i 5

Redakcja i Administracja „Promienia”

W imieniu wszystkich uczniów I. Państw. Liceum
i Gimnazjum im. I. Marsz. Polski Józefa Piłsudskiego
z okazji nadania

SREBRNEGO KRZYŻA ZASŁUGI

oraz

Złotej Odznaki Komendanciej Przysp. Wojskowego
p. prof. **WŁ. ROŚCISZEWSKIEJ**

składa

serdeczne gratulacje

życząc dalszych pomyślnych wyników na polu pracy
zawodowej i społecznej.

W imieniu całej młodzieży naszego Zakładu składamy
z okazji zbliżających się

IMIENIN

p. dyr. **ADAMOWI CZECHOWSKIEMU**

nasze

najserdeczniejsze życzenia

REDAKCJA

Cudna legenda

Myślą jesteśmy wszyscy w miłym pokoju przy ładnie ubranej choince. Palą się świeczki, wesoło gra radio, za oknem prószy nastrojowo śnieg, każdy ogląda przyjemne podarki gwiazdkowe. Jest miło, swobodnie, przytulnie. Po długim okresie Adwentu z radością powitaliśmy białą rączynę Boga, zstępującego do nas na ziemię. Wigilia jest może najuroczystszym dniem w roku. Nie znali go mądrzy Egipcjanie (może dlatego, że u nich nie rośnie choinka ani śnieg nie pada), nie znali go wysoce kulturalni Grecy ani wojowniczy Rzymianie. Stworzyli go Słowianie.

Jednym z wielu, tak bardzo ładnych u nich zwyczajów były Gody, przypadające w tym samym właśnie czasie, co u nas Boże Narodzenie. Wieczorem zasiadali wszyscy: gospodarze i służba, bez różnicy do stołu, aby spożyć wspólną wieczerzę. — Wszyscy w tym dniu byli wolni, słudzy dostawali podarki. Potem aż do późnej nocy śpiewano do swych bogów. Gdy Słowianie poznali później naukę Chrystusa, nie wyrzekli się swego zimowego święta, tylko pod inną nazwą i w trochę zmienionej formie wprowadzili je do tradycji chrześcijańskiej. I odtąd trwało ono do naszych czasów.

Grudzień cały mija w ponurym, chłodnym nastroju. Rano płacze delikatnym, szronem na dachach, jęczy chłodnymi rotatami, czasem cieszy się wesołą zadymką, dotnie ostrym przy-mrozkiem, wieczorem bije widokiem roześmianych wystaw, hu-czy masą przewalających się tłumów. Ruch wzmacnia się z każdym dniem, najwyższe ożywienie osiągając w wigilię. Od rana pośpiech, gorączka, dziwne uśmiechy, życzenia, podarki. Wieczorem symboliczna wieczerza (u nas zamieniona już w szablon!) przy długim, biało okrytym stole gromadzi się cała rodzina. Choinka skrzy się wesoło, słychać chrzęst łamanych opłatków, czasem kapią szczerze, dwie łzy.

„Bóg się rodzi — moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice nieskończony...”

Można się wzruszyć. Motyw religijny błąka się w wielu powieściach, szczególnie polskich. Żywo stoi mi przed oczyma wspaniała nowela A. Szymańskiego i obraz J. Malczewskiego „Wigilia na Syberii”. Wigilią kończy J. Wiktor swoją wspaniałą „Orkę na ugorze” lub sentymentalną „Tęczę nad sercem”. W „Wierzbach nad Sekwaną” ze wzruszeniem opis. uroczystość Bożego Narodzenia wśród wychodźców we Francji: wielu Francuzów płakało słysząc śliczne nasze kolendy, śpiewane w kościele, mimo, że nie rozumieli słów.

Dla nas grudzień jest jeszcze ważniejszy: koniec półrocza. Ostatnie, decydujące zadania szkolne, egzaminy, powtórki, stopnie. Z świadectwem w rękę opuszczamy gimnazjum: z uśmiechem lub z ponurą miną. Czekamy na święta. Wszyscy. Cieszymy się na choinkę, spodziewamy się podarków...

Czy można wilię i święto inaczej spędzić?

Idź, bracie, jeden z drugim, do najbiedniejszej części miasta: zlicz wszystkie łzy, wylewane z nędzy i niezmiernej serca żalości i zapal je razem z choinką. Idź do szpitala: Spójrz na bólem skrzywione twarze, zazdrość konającym w wigilię (może będą Boga naprawdę widzieli?), współczuj śpiewającym w gorącznie kolendy, schyl czoło przed siostrą zakonną, która nie o sobie myśli, tylko o tych biednych, najbiedniejszych.

Straszny to widok... Pomyśl o bezdomnych, którzy dzień spędzają na dworcu, nocą leżą pod mostami. Nikt im, nawet w wigilię ręki nie poda, nie ucałuje rozognionego czoła. Może wśród resztek użebranego chleba znajdzie się kawałek białego, bladego opłatka?... Zamiast „W żłobie leży“ usłyszysz się wtedy straszne a jednak naturalne: „Psiakrew!“

Zresztą po co o tym myśleć? Lepiej przenieść się do salonów, kawiarni, kin, teatrów, gdzie traci się tysiące! Lepiej zapomnieć o nędzy, biedzie, o **prawdzie** życia a żyć — samym sobą. —

Przed nami jeszcze kilka tygodni wakacyj. Odpoczynek słuszny. Śnieg, lód, sanki, łyżwy, kuligi, nastrój!

Hej! Śnieg! Byle tylko śnieg! Śniegu jak najwięcej.

REDAKTOR NACZELNY.

Przyjdź! — Przyjdź!

Czekamy...

Ciężar obowiązków przygniata nas, w ciągłej walce i dążeniu do ideału padamy... podnosimy się!... idziemy... ale znów padamy... brak nam siły, nasze zasoby są za małe, nie podołamy, zbyt często ogarnia nas zniechęcenie, zbyt często pytamy: „Po co?... a niebiosa milczą... choć ręce się krwawią, idziemy naprzód... choć ciężko, nie ustajemy, ale wnet zabraknie tchu... serce bije coraz słabiej... coraz ciszej... może stanie...?”

Przyjdź Panie! Przyjdź

BÓG SIĘ RODZI!

Przyszedł!

W małej szopie betlejemskiej złożony na sianie Bóg Prawdziwy! Nasz Król! Nasza moc!

Zstąpił z nieba, by nas pocieszyć i podnieść. Widział, że ciężko nam, przyszedł i rozweselił nas.

Wyrzekł się swego szczęścia dla nas. Z nieba wysokiego zstąpił na ten padoł płaczu, na tę niską ziemię. Dla nas chce cierpieć, nam wskazać drogę, nam dać przykład pracy, modlitwy i poświęceń. Chce nas odkupić na krzyżu i zlać potoki łask i szczęścia, chce nam dać siłę, moc i radość.



A MY?

Z radością wykrzykujemy:

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!”

Przez zejście do nas ucieszyłeś nas niezmiernie, nasze straszkane dusze radują się! Nasze serca, które tak cicho i powoli biły, teraz walą jak młotem, są ciepłe, gorące, kochają Ciebie!

Nasze mięśnie prężą się do nowej pracy, nasz umysł rozjaśniają nowe widnokreśli.

A czy to już wszystko?

Nie!

My nie zadowolimy się, że Ty zstąpiłeś na ziemię, że urodziłeś się w stajence betlejemskiej.

My chcemy byś Ty urodził się w sercach naszych.

Przyjmiemy Cię w Eucharystii do serc swych, ugościmy tym, co mamy, aby Ci było ciepło i miło.

A czy to już wszystko?

Nie!

Oddamy Ci serca nasze na zawsze, chcemy z Tobą, w Tobie i dla Ciebie żyć!

Nie opuścimy Cię nigdy, Ty będziesz naszym królem, naszym Panem i Bogiem!

A czy to już wszystko?

Nie!

Bo bylibyśmy samolubni!

Kiedy tylko odezwą się głosy o ofiarę, gdy biedny wyciągnie swą zimną i wychudłą rękę sam czy przez komitety, damy, co mamy, by poratować brata w Chrystusie a wtedy Ty powiesz:

„Dobrze mi jest wśród was! zostanę z wami!“

H. KAMIŃSKI.

Takie ciepłe święto

Objęło mnie takie święto,
w tym objęciu takim szczęśliw.
(białą płachtę w pył pociętą
aniołowie z nieba strzęśli.)

dziś są ludzie tacy mili,
dziś są ludzie tacy — bracia.
(szare życie w jasnej chwili
może swoją szarość straci?)

twoja twarz jet taka ciemna,
a opłatek taki jasny,
podziel się opłatkiem ze mną,
niech o Gwieździe z myślą zasną.

TADEUSZ Z. O. NABZDYK.

Czy dałeś już składkę na karabin masz.?

Sanktuarium

(Wigilia w lesie)

Śmiały się perły nocy
brylantem pomrok pruszył
o czymżeś myślał, o czym
w głębi twej młodej duszy?

serce twe lekkim puchem
konarów biel okryło,
serce twe takie kruche...
żyje w nim wieczna miłość

ciemność ma twoje oczy
tak duże, rozkochane
wzrok sercem płonie nocy
czarownej, zapłakanej

przed mocy siedzisz źródłem
(wokoło cieni kilka):
i cicha zjawia złudna:
ubrana w biel choinka

blade płomyki mdleją
pod stropem świerku złotym,
pustki śmiech złej nadziei
płacze mgły zimnym potem

na bieli życie czarne
świata wielkością żyje
anioły chórem marnym:
pieśń serca ich nie bije

niebiosów prysła brama
Bóg wieczność — cud uczynił:
słabe silnością ramie
bezsilnej podał ziemi

pierwsza to twoja wilia
gdzie samym Bogiem żyjesz,
szczęście nie — życie mija
las sobą ciebie kryje

serce łamiesz na części
dzielisz się jak opłatkiem...
(łzy kapią coraz gęściej...)
a ze mną na ostatku...

w twych oczach widzę ogień
co topi śnieg w nicości,
w pustki się głuszę owiń
w smutek czaru miłości

śnieg strzepnij z serca liści
urokiem go otocz cichym
...o życiu jeszcze myślisz?
...życie jest takie liche

z za świerku patrzą na cię
łzy oczu dużych czarne:
dwa serca tylko macie
które dziś w jedno zgarnę

jedność jest dziś miłością
(choć nie zawsze różową)
razem z uśmiechem Gościa
rozpoczniesz życie nowe...

TADEUSZ RAJSKI

Redakcja i Administracja „Promienia”

wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom
życzy

ZDROWYCH I WESOŁYCH ŚWIĄT

oraz przyjemnego spędzenia wakacyj.

O religijności uczniów

(Nad artykułem kol. St. Jusia)

Stosunkowo mało porusza się u nas tak ważną sprawę jak religia. Mówi się o wszystkim, tylko nie o tym. Są wprawdzie dwie poważne, dobrze zorganizowane i sprawnie działające organizacje: „Sodaliczja Mariańska“ i „Krucjata“, ale nie wszyscy do nich należą; poza zebraniami tych organizacyj młodzież nie słyszy prawie o religii. Nie mówię o lekcji tego przedmiotu.

A nam potrzeba mocnej, silnej postawy moralnej. W czasach, kiedy dba się przede wszystkim o sport, o wychowanie fizyczne, o zdrowie organizmu, gdy chore lub może upośledzone jednostki spotykają się z żartami i drwinami współkolegów, przesportowana młodzież znajduje mało miejsca i czasu w swoim programie pracy na życie religijne. Smutne to, ale prawdziwe. Często zapomina się, jak wielkie znaczenie ma dusza, i że o nią na równi z ciałem, o ile nie więcej należy dbać. Szczególnie w młodości. Nasza młoda gorąca dusza rwie się do ideału, łatwo zapalna często stoi w ogniu, wznosi się na wyżyny, czasem znajduje się nad brzegiem przepaści, czasem stoczy się z jękiem w dół.

Trzeba kuć żelazo, póki gorące. A u nas przeciwnie: ogólne zaniedbanie. Nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele musimy robić i ile zdziałać możemy. Zupełnie na miejscu, prawie że konieczny był artykuł kol. Jasia. Autor rozpatruje w nim typy religijne wśród uczniów. Od razu, po pierwszym przeczytaniu artykułu uderzył mnie ten podział. Czekałem, aż ktoś z kolegów odezwie się na ten temat. I teraz dopiero zabieram głos.

Całemu rozumowaniu zarzuciłbym najpierw — moim zdaniem — słabe przemyślenie. Tu i ówdzie spotyka się czasem sprzeczności. Typ pierwszy spokojny, opanowany, systematyczny, mało mówny. „Poświęca dużo czasu na modlitwę. Ten fakt sprawia, że wartość jego stokroć się potęguje“. Tu zachodzi mała niejasność. Jak Kolega rozumie modlitwę? Czy naprawdę ten, który pracując cały dzień, znajdzie czas tylko na ranną i wieczorną modlitwę, jest mniej wart od tego, który dużo czasu poświęca na nią? Rozumiejąc dosłownie należy brać dosłowne znaczenie modlitwy. A czyż praca nie jest modlitwą? Bez wątpienia jest. Modlitwą jest nasza nauka, myślenie, ba, jedzenie nawet, przechadzka i zabawa — jeżeli je ofiarujemy Bogu. Sądzę przeto, że uczeń umiejący pogodzić jedno swoje zajęcie z drugim, wykonując wszystko z myślą o Bogu, w pogodzie ducha, nie poświęcając specjalnie dużo czasu na modlitwę (w dosłownym tego słowa znaczeniu) więcej znaczy od zwykłego, spokojnego, pobożnego młodzieńca, który częściej i dłużej siedzi w kościele, albo dłuższe odmawianie modlitwy rano czy wieczorem.

Typ drugi: żywy, z temperamentem, mało konsekwentny, bez silnej woli. Z dalszego rozumowania wynika, że jest mało przywiązany do rzeczy ziemskich. Moim zdaniem, nie wpływa to z przekonania, ile raczej z lekkomyślności (takim przecież jest każdy niekonsekwentny lub o słabej woli). Zupełnie nie rozumiem dlaczego miałby on być doskonałym materiałem na ascetę? Sądzę, że prawdziwe wyrzeczenie się zupełnie rzeczy ziemskich nie jest tak łatwe; potrzeba do tego dużej dozy silnej woli. A dlaczego właśnie ten drugi typ, odznaczający się raczej słabą wolą, miałby się nadawać na ascetę, gdy pogarda do rzeczy ziemskich jest u niego tylko chwilowa?

Rozmyślając nad tym, doszedłem do nowego podziału. Mianowicie: gorliwych, zapalonych, pobożnych (tych stosunkowo mało), obojętnych (najwięcej) i zimnych, twierdzących, że nie ich z religią nie wiąże (szczególnie wśród starszych); gdyby nie mus, do kościoła by nie chodzili. To swego rodzaju „niedowiarstwo“ wyrasta najczęściej na podłożu nieodpowiadniej, podkopującej najdroższy skarb - wiarę, lektury, dysput i rozmów koleżeńskich lub najczęściej głupiego snobizmu. Jeden z drugim, niedorostek umysłowy, z szumnym gestem puszy się przed kolegami, że religię ma za nic, że już wyrósł z tych „głupstw“. Współczucie za głupotę należy im się przede wszystkim; współczuć zaś musimy także z tymi, którzy dali usidlić się w więzy błędnych rozumowań i popadli w niewiarę.

Równie zła jest również postawa obojętnych: pacierza nie odmawia, co niedzielę na wspólne nabożeństwo idzie (bo musi), spowiedź odbywa wtedy, gdy idzie całe gimnazjum. Nabożeństwa wieczorne (cudne majowe i październikowe, Boże Ciało itd.) nie istnieją dla niego. Nie opuści jednak żadnego meczu piłki nożnej, w kinie kiwa się czasem do 11-tej (czasem usnie), chwali się, że setkę przebiegnie w 13 sekund a zapomniał Dzieściorga Przykazań!

Rumieniec wstydu oblewa mnie, gdy piszę te słowa. Ale przecież gdzieś prawdę musimy sobie powiedzieć! Wśród ogólnego zobojętnienia powinniśmy pamiętać o religii. Jesteśmy młodzieżą, która ma kiedyś ująć w swe ręce ster państwa pośrednio lub bezpośrednio, mamy kiedyś być nauczycielami młodszego pokolenia — musimy postarać się najpierw o silną postawę moralną. Brak jej daje się dotkliwie odczuć. Nie wystarczą 2 godziny tygodniowo religii (gimnastyki z gram i zabawami mamy 4), nie wystarczą ranny i wieczorny pacierz ani niedzielne nabożeństwo... Do tego jeszcze powrócę w następnym numerze...

TADEUSZ RAJSKI.

Walki o niepodległość Ostrowa

(Dokończenie)

Żywot tej organizacji był bardzo krótki. Po kilkudniowym istnieniu rozpoczyna się jej upadek, którego nie zatrzymała nawet zmiana dowództwa, tak, że już w dniu 21 listopada I. Pułk Piłchoty został rozwiązany przez delegatów Głównej Rady Żołnierskiej w Poznaniu dra Szulczewskiego i Szulca. Obie rady żołnierskie — polska i niemiecka — połączyły się, a żołnierzy



Bank Kupiecki — siedziba Komitetu Ludowego, Komitetu Wykonawczego i Tajnego Komitetu Obywatelskiego. (W mieszkaniu p. dyr Nowickiego).

rozpuszczono. Zwolnieni Ostrowiaczy nie przestali myśleć o tworzeniu armii polskiej i o walce zbrojnej z zaborcą. Zaraz więc przekradali pojedynczo lub grupkami przez kordon (często z bronią w ręku) i w Kaliszu zapisywali się do I-szego Batalionu Pogranicznego, złożonego przeważnie z Ostrowiaków. Potajemnie przekazano tej formacji wszystką broń i amunicję,

jaką posiadał I-szy Pułk Piechoty w Ostrowie, a którego ostateczna likwidacja nastąpiła 26 listopada.*)

Tymczasem sytuacja stawała się coraz trudniejszą. Niemcy zaczęli znów podnosić głowy i lekceważyć Polaków, gdyż posiadali własny „Heimatschutz“, a nasza organizacja wojskowa upadła. Nie dotrzymywali też danych 21 listopada 1918 r. przyrzeczeń (w związku z likwidacją naszego pułku piechoty) i utrudniali każde przedsięwzięcie Powiatowej Rady Ludowej, złożonej obecnie z 45 członków, która już i tak niewiele działała, lecz zgodnie z nakazami Poznania, czekała. Dni mijały. Ludność coraz więcej niecierpliwiła się. Wiadomości o walkach w Poznaniu, o strzałach pod Boczkowem i śmierci pierwszego powstańca wielkopolskiego J. Mertki z Przygodzic, a wreszcie zdobycie Skalmierzyce i Śliwnik przez „Szczypiorników“ nieustan-



Zachodnia strona rynku w chwilę po zrzuceniu orła pruskiego...

nie podniecało społeczeństwo niezadowolone z poczynąń Rady Ludowej.

Wśród oczekiwań i niepewności nadszedł 31 grudnia. W dniu tym przybyli oficerowie ze Szczypiorna i na zebraniu w Banku Kupieckim zażądali od Rady czynu i zaniechania polityki ugodowej. Za ich radą wysłano do niemieckiego „Soldatenratu“ ultimatum, w którym domagało się natychmiastowego poddania garnizonu, wydania Polakom dworca i poczty oraz przerwania wywozu broni i amunicji w głąb Niemiec. Wszystkie te żądania Niemcy całkowicie przyjęli, zostawiając także władzom polskim utrzymanie ładu i porządku w mieście.

*) Krótki zarys historyczny I Batalionu Pogranicznego w Szczypiornie — „Promień“ r. 1937 nr 8 str. 4

Na wieść o przyjeździe oficerów I. Batalionu Pogranicznego zebrały się przed Bankiem Kupieckim tłumy ludu, tak z samego miasta jak i z okolicznych wsi i miasteczek. Żołnierze zrozpaczeni nowymi pertraktacjami udali się do Domu Katolickiego, gdzie odbył się burzliwy wiec, na którym postanowili siłą zdobyć miasto i wyrzucić stąd Niemca. Podzieliwszy się na grupy, z zapalem rzucili się do „ataku“. Kolejno zaczęli zajmować koszarzy Moltke'go, Bismarcka, dworzec i urzędy, nie napotyając na żaden opór, gdyż Niemcy niedawno kapitulowali, o czym jednak rozentuzjasmowane masy nie wiedziały. Na szczególną uwagę zasługuje to, że Polacy, tak wzburzeni, doznawszy tyle krzywd od Niemców, nie znęcali się nad nimi i nie wyrządzali im żadnych szkód.

Teraz dopiero zapanowała niebywała radość. Place i ulice zaległy tłumy obywateli ostrowskich cieszących się tak uprag-



Ohecný wýgląd ratusza i południowej strony rynku.

nioną wolnością, przepełnionych szczęściem na myśl o niepodległej Polsce. Z uśmiechem na ustach witał cały Ostrów Nowy Rok — rok 1919, w którym miał każdy zapomnieć o trudach i niedoli lat poprzednich.

Pierwszego stycznia 1919 zbudziło się miasto w powodzi białej - czerwonych sztandarów. Na murach białeły prostokąty odezwy następującej treści:

„BRACIA RODACY!

Dzisiejszej nocy władza w powiecie i mieście naszym przeszła w polskie ręce. Najwyższą władzą jest Powiatowa Rada Ludowa.

Starostą jest p. Wojciech Lipski z Lewkowa.

Burmistrzem jest p. Stefan Rowiński.

Komendantem miasta p. podporucznik Modrzejewski.

Miasto zajęte zostało bez strzału i bez krwi rozlewu. Świętym w tej chwili obowiązkiem każdego Polaka przyczynić się do utrzymania ładu, porządku i spokoju!

Rodacy! Stajemy z tą chwilą w rządzie wolnych narodów. Niech czci i honoru naszego nie splami żaden gwałt ani przeciwko osobie, ni mieniu bądź własnych braci, bądź ludzi obcej narodowości.

Powiatowa Rada Ludowa w Ostrowie“.

Ostrów, dnia 31 grudnia 1918 r.

M. DUCZMAL

„Belina“

Rok 1914 — Kraków.

„Hej idą strzelcy

Morowcy wielcy... hej strzelcy...”

Cichą, gwiazdzistą sierpniową nocą po pustej drodze kłusuje niewielki oddział konny złożony z 6 do 7 jeźdźców. Jadą ułani...

Niedawno jeszcze wysłani rozkazem Wodza, jako mała szpic-piechurów, obecnie zaś ułani, wsadzeni na zdobyte konie przez Belinę...

„Hej! Belina jedzie

Ułanów wiedzie...”

Kielce...

Beliniaków jest coraz więcej... jadą ostrym kłusem wprost na Kielce...

*

*

Pod Kielcami tworzą się plutony. Belina obejmuje dowództwo. Wśród ułanów sokoli konni ze Lwowa; ich komendant Śniadowski zostaje zastępcą Beliny. Początki sławy... początki chwały i — krwawej pieśni...

„...Siwe kabaty

Duch w nich rogaty...”

*

*

*

Ciężkie były czasy pierwszych Beliniaków. Niby to piechota, niby kawaleria. Wyglądali zbyt „prywatnie“ i zbyt „bezpańsko“. Ale Belina dał sobie radę. Zarodki polskiej kawalerii przeszły ciężką szkołę i bojową i moralną, lecz za to z tej szkoły wyszła nasza kawaleria pełna hartu, siły i woli.

*

*

*

Na czele plutonów znane każdemu Polakowi nazwisko J. Sosnkowskiego, Mariana Zaruskiego, Gustawa Dreszera i Głuchowskiego. Adiutantem jest Grzmot - Skotnicki.

Wśród podoficerów mało znani wówczas, dziś tak słynni
Polacy jak Andrzej Strug-Gałecki lub Wieniawa - Długoszewski.

*

*

*

Rok 1915...

Ułani nad Nidą...

Biją rumacze kopyta w takt „1-ej Brygady“.

...Belina twórcą polskiej kawalerii...

Powiązał zerwane długą niewolą nici dziejów chwały i świę-
tości naszego rycerstwa — naszej husarii...

*

*

*

Minął okres niewoli... Zaborcy pokonani, zgruchotani... Rok
1920 znów okrywa chwałą polską kawalerię...

...Minęły chmury zagłady, przeszła nawałnica...

*

*

*

I znów w Krakowie... W wolnej Odrodzonej Polsce, — Pol-
sce mocarstwowej. Kawaleria polska u szczytu swego rozwoju.
Wskazania Beliny prowadzą ją ku świetności...

*

*

*

Rok 1938...

...na starym wawelskim grodzie biją dzwony. Nad grobem Be-
liny szumią okryte kirem proporczyki i płyną pieśni legionowe:

„Śpij Kolego, w ciemnym grobie

Niech się Polska przyśni Tobie...”

Po srogich, marsowych twarzach Beliniaków płyną łzy...

„Hej tam od Krakowa stara Wisła płynie

Szumią fale, szumią — pieśni o Belinie“...

ST. MAJCHRZAK.

Zakopane, góry i górale

„Hej, górol ci jo górol,

Hej z pod samiuskich Tater....“

Tak to śpiewają o sobie górale z pod Zakopanego. Zako-
pane! Dziś nazwa ta nie potrzebuje chyba objaśnień. Lecz
cóż by było, gdybyśmy tak tę nazwę powiedzieli komuś, tak
pięćdziesiąt lat temu. Na pewno nie wiedziałby, co to Zako-
pane. Rzeczywiście! Do drugiej połowy XIX wieku Zakopane
było prawie nieznane. Nazwę „Zakopane“ tłumaczy się tym,
że pierwszy osadnik na tym miejscu z a k o p a ł ziarno owsa,
aby się przekonać o użyteczności gleby. Gdy próba wypadła
pomyślnie, założył osadę. Kiedy to było, nie wiadomo. Pier-

wsze ślady historyczne w postaci dokumentu Stefana Batorego pochodzą z roku 1578. W roku 1824 Zakopane przeszło w ręce Austriaków, którzy je rozparcelowali. Wskutek złej gospodarki ówczesnych właścicieli okolice Zakopanego ogołocono prawie doszczętnie z lasów. Aby zapobiec zupełnej ruinie, dobra te kupił hrabia Władysław Zamoyski i w roku 1924 oddał je Państwu. Jak już wspomniałem, do drugiej połowy 19 wieku Zakopane nie było prawie zupełnie znane. Wprawdzie zapuszczali się tu nieliczni uczeni, tak polscy, jak i zagraniczni, lecz bliżej Zakopanem nie zainteresowali się.

W górach grasowały wtedy bandy rozbójnicze, o których do dziś dnia opowiadają przepiękne podania góralskie. Pierwszym, który poznał się na rzeczywistej wartości Zakopanego był doktor Tytus Chałbiński. Przybył on tam w roku 1873. Jego zasługą jest założenie „Towarzystwa Tatrzańskiego“, które wybitnie przyczyniło się do spopularyzowania Zakopanego. Jednak zaczęło się ono naprawdę rozwijać dopiero wtedy, gdy zostało połączone linią kolejową z szerokim światem. Dziś Zakopane jest już miastem, liczącym stałych mieszkańców około 20 tysięcy. Roczną frekwencję gości oblicza się już na około 50 000 osób. Co ich sprowadza do Zakopanego? Przede wszystkim własności lecznicze i klimatyczne Zakopanego, dobre warunki turystyczne i sportowe oraz piękno Tatr samych.

Klimat Zakopanego jest łagodny i ciepły. Przyczynia się do tego położenie Zakopanego w kotlinie na znacznej wysokości, osłoniętej jednak od wiatrów pobliskimi górami. Dochodzi do tego, że w Zakopanem, przy słonecznej pogodzie i wielkich śniegach można się nawet zimą „opalać“. Podział roku na sezony: letni i zimowy, z punktu widzenia leczniczego jest najzupełniej niewłaściwy.

W Zakopanem leczyć się można przez cały rok. Klimat tego uzdrowiska, oprócz swego dodatniego oddziaływania na rozwój i ustrój człowieka, ma bardzo zbawienny wpływ na choroby gruźlicze, szczególnie w początkach ich rozwoju. To wszystko czyni Zakopane stolicą uzdrowisk polskich.

Oprócz szukających poratowania zdrowia, przyjeżdżają do Zakopanego także liczni turyści. Zwabia ich tu piękno Tatr i Zakopanego a także dogodne, sprzyjające turystyce warunki. Jest to zasługą Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (P.T.T.). Ono to właśnie od początku swego istnienia (1873 r.) pracuje nad spopularyzowaniem Zakopanego nie tylko w kraju, ale i za granicą. Można śmiało powiedzieć, że dopięto ono celu. Lecz to jeszcze nie wszystko. Aby w okolicach Zakopanego mógł się dobrze rozwijać ruch turystyczny, zbudowano w Tatrach dostateczną ilość ścieżek turystycznych, wiodących do wszystkich dolin i na ważniejsze szczyty. Oprócz tego P. T. T. utrzymuje w Tatrach liczne schroniska, czynne przez cały rok

i dla wszystkich dostępne. To też skutkiem tego wytworzył się typ polskiego turysty wysokogórskiego, t. zw.: „taternika“.

Poznanie Tatr ułatwia bardzo wiele pożytecznych przewodników turystycznych i map. Aby przy tak licznej frekwencji uchronić Tatry od możliwego w tych warunkach zniszczenia, powstała myśl utworzenia z Tatr Parku Narodowego. Tak Państwo Polskie, jak czesko-słowackie ustosunkowuje się bardzo przychylnie do tej pięknej idei.

Równie dobrze, jak turystyka, rozwija się w Zakopanem, przy sprzyjających warunkach sport. Odbywa się tutaj na stadionie sportowym mnóstwo zawodów, konkursów sportowych i match'ów piłki nożnej. Na dobrych kortach tenisowych spotykają się mistrzowie tego sportu. Poza tym Krakowski Klub Automobilowy, organizuje co roku zawody samochodowe, t. zw. „Wyścig Tatrzański“, na drodze do Morskiego Oka. Lecz dopiero zimą przybiera Zakopane prawdziwie sportowy wygląd. Okoliczne góry roją się wtedy po prostu od narciarzy. A Zakopane posiada wspaniałe tereny do uprawiania tego sportu! Odbývają się tam także Międzynarodowe Zawody Narciarskie. Do skoków służy nowa skocznia długości 70 m na Krokwi. Poza narciarstwem zimą w Zakopanem uprawia się na szeroką skalę sport saneczkowy. Na stadionach zimowych przy ulicy Kościuszki odbywają się co roku międzynarodowe zawody łyżwiar-skie oraz zawody w hockey'u na lodzie. A więc i pod względem sportowym może Zakopane zaspokoić najbardziej wybrednych.

Kto zaś szuka piękna, może się śmiało udać do Zakopanego, a znajdzie je w Tatrach. Wysokie, nagie szczyty gór, z pokrywającym je i bielącym z daleka wiecznym śniegiem, poprzerywane licznymi wąwozami, w głębi których szumią strumyki lub huczą wodospady. Nieco dalej rozpościera się, zdradliwie cicha toń wody. To stawy. Na szerokich hałach gwoźdзикów tatrzańskich, złotogłowów, storczyków, krokusów, czy też dziewięsiłów, rozlegają się metalicznym dźwiękiem dzwonki, pasących się tam owiec. Za nimi podąża — ubrany w swój śliczny strój — góral.

Góral — to mieszkaniiec i odwieczny właściciel tego górskiego kraju! Górale mają swój piękny, wszędzie podziwiany strój. Składa się on z czarnego filcowego kapelusza z piórem i białymi muszelkami, noszonego na białej koszuli, z ozdobnie wyszywanego serdaka, spodni z grubego białego płótna z pięknymi parzenicami i z wytłaczanych z skóry kierpców.

Lecz również piękną i ciekawą jak strój góralski jest dusza górala. Górale to ludzie twardzi, wychowani na łonie przyrody; są tak swobodni jak i ona. To też na Podhalu, mimo, że poddaństwo i pańszczyzna wszędzie była stosowana, wcale jej nie było. Na wszelkie próby ograniczenia tej swobody ludność góralska odpowiadała po swojemu ciupagami. Jednak, gdy przyszło do

walki, za dobrą i świętą sprawę, górale nie pożałowali swych ciupag i w mig je obracali na wroga.

Na tle Tatr, Podhala i Zakopanego wytworzyła się specjalna poezja (Tetmajer, Orkan, Asnyk, Kasprówicz i inni). Lecz oprócz tej istnieje jeszcze inna, pisana swoistą, do mowy staropolskiej nieco podobną gwarą. Nie piszą poezji tej bynajmniej tylko ci co ukończyli gimnazja, czy uniwersytety, lecz tworzą ją nawet ludzie prości. Oto Stanisław Nędzia Kubiniec jest gazdą z Kościelisk. Jako całe wykształcenie posiada skończoną 1 klasę powszechną. Albo taki Andrzej Florek Skupień co to ukończył zaledwie 4-ro klasową szkołę powszechną. Wiersze ich proste, lecz dlatego właśnie bardzo cenne, bo szczere. Piszą i ludzie ze średnim i wyższym wykształceniem, ale są to przeważnie rodowici górale. Tak to poezja młodego Podhala rozwija się znakomicie.

Czyż więc nie zaciekawi Cię drogi Czytelniku ta opisana tu przeze mnie kraina? Czyż nie czujesz potrzeby zobaczenia tego wszystkiego na własne oczy, potrzeby zapoznania się z tym nieznanym Ci dotąd ludem góralskim? Myślę, że tak! A więc przy najbliższej sposobności: „W góry, w góry miły bracie“!

FELIKS ORZEŁ.

Dlaczego lubię grać w szachy?

Na pytanie: „Czy zagrasz ze mną w szachy?“ — najczęściej słyszy się taką odpowiedź: „Wiesz, nie chce mi się, głowa mnie boli od myślenia!“ — Mój Boże! Alboż to po biegu na setkę nie bolą nogi? A przecież biegasz chętnie. Czy było by rozsądnie powiedzieć: „Nie będę biegał, bo się tym męczę!“ — Przecież wysiłek włożony w każdą pracę, lub inaczej — wydana energia wraca się, (u ludzi młodych) z lichwiarskim wprost procentem. Przecież każdy rozwój potrzebuje energii.

Zyje w człowieku, ale to w każdym — bożek jak gdyby — walki. Człek walczyć musi. Chęć walki dojrzysz często na gorętszych lekcjach z dyskusjami, na przerwie, na meczu bokserskim, w przyrodzie całej.

Otóż dyskusje zwykle są nieumiejętne i bardzo powierzchowne. Miast iść w głąb, wędruje się po powierzchni. Jak ktoś, kto chcąc się dostać do sąsiada omija furtkę, przy której pies czuwa i obchodzi parkan, szukając innego wejścia. Przecież nie znajdzie — a powróci na miejsce, z którego wyszedł i — drugi raz nie pójdzie, (aż do dzwonka) bo psu nie poradzi. Więc nie tu wyładuję swoją chęć walki. W sporcie — owszem! Tu jednak wchodzi w grę pierwiastek wysoce nieetyczny: egoizm kolegów, poświęcanie środków dla celu. (Historia zresztą stara, jak P.Z. P.N. i inne). — Wróćmy do szachów.

Czy wytrzymają one poprzednie zarzuty?

Abym na to odpowiedzieć, trzeba szachy zrozumieć! —

Szachy, to nie jest ani obraz wojny, jak to opowiada b. wielu ignorantów, ani dziecię „damki“. (Boże! — jak można przypuścić?).

Szachy, to obraz życia, ale to życia, po mistrzowsku skopowanego. — Dowody:

Jesteś np. partaczem, (nie koniecznie Ty, Czytelniku) grasz, no, miernie: znak, że brak Ci wykształcenia (tu, szachowego). Jak wygląda Twoja partia? Jest zbiegiem błędów, niespodzianek, żalów. Chodzisz po wierzchu gry, nie dostrzegając jej głębi, gdzie właśnie kryje się skarb: piękno szachów. Wciąż się denerwujesz w obawie napaści, zmiany losu, której Ci się nie chce (lub jej nie umiesz) przewidzieć. Czyż to nie jest gruntownie podobne do życia człowieka, któremu się tylko zdaje, że się nauczył żyć?

Dla niego ani życie — ani szachy nie stanowią piękna i sprawiają mu — ból głowy.

Gdy jednak wejdziesz w głąb gry, otworzą się przed Tobą królewskich pałaców podwoje. W pierwszej chwili zawołasz: „Boże! Toż ja ujrzałem życie, moje własne, w tej krótkiej chwili!“ —

To nie jest złudzenie. — Przecież przed Tobą jest przeciwnik, który dąży do tego, by Cię pognać, zdusić, zmieść z powierzchni. Tym jest w życiu — los. Nikt jednak nie chce umierać, każdy chce żyć! Więc — walczymy z losem. Na czym ta walka polega? —

Musisz wprawdzie wiedzieć, czym grozi przeciwnik. — Los. Chorobą, katastrofą, pożarem, komornikiem, taką gumową pałką, zgubieniem pieniędzy, głodem i niewiedzą, czym tam jeszcze. — Przeciwnik? Szachem, atakiem, wzięciem pionka, figury, hetmana, matem, czasem patem. Ale to wszystko nic. Najgorsza, to ukryta kombinacja, której nie widać a która się nagle objawia i — giniesz.

Ileż to razy w życiu nie dojrzyysz zasadzki i — upadasz.

Jak wygrać partię, (lub życie) gdy przeciwnik rozporządza tylu środkami i wiecznie nogę podstawia?

Ileż to razy przeciwnik ofiaruje figurę, nawet damę, aby Cię sprowadzić na przepaściste drogi i tam zamatować — w prostej konsekwencji błędu! „Dama“ — mówisz — „miła rzecz. Od przybytku głowa nie zaboli!“ Bierzesz. W chwilę potem giniesz zbłąkany. O, jakże podobnie w życiu, gdzie tak często biegniesz na oślep za piękną złudą. Gdyś ją osiągnął, widzisz, że wpadłeś w zasadzkę. „Damę“ masz, ale szczęście tracisz...

Szachista reasumuje grożące niebezpieczeństwo, potem szuka posunięcia, które spełni takie warunki:

1) Usunie niebezpieczeństwo.

2) Wywrze naodwrot nacisk na przeciwnika.

Tu właśnie, w tym „szukaniu” — spoczywa pożytek szachów i to, co zapiera dech. Pod uwagę bowiem trzeba wziąć setne okoliczności. A nuż moje posunięcie sprawi przeciwnikowi przyjemność? Czym on może odpowiedzieć? Czym ja wtedy? — Stoją 32 figury. Setne sposoby poruszeń. Tysięczne możliwości. Ha, ale i ja mam mózg. Coś wymyślę! „Oglądam” możliwości do kilku posunąć w głąb. „O, wa!” — powiesz. „Alboż to w życiu też można „ogłądać” Księgę Przeznaczeń swoich?” — Nie! Ta jest dla śmiertelników nietykalna. Otóż i w szachach Księga Przeznaczeń jest nietykalna. Zaś całe to „poszukiwanie” swej drogi — właściwie nie istnieje. Figury przecież stoją w miejscu i naprawdę: tylko partacze dotykają się figur, głaskają koniki po główkach. — Widzisz tylko sytuację obecną, jak w życiu. Jednak: szachista patrzy, myśli, aż — odnajdzie drogę. — On wynalazł swoją drogę w najwierniejszym modelu życia.

Zastanawiaj się długo, jak szachista, nad najdrobniejszym nawet krokiem w życiu — potem wykonaj posunięcie zdecydowanie, śmiało — a możesz być pewien, że rzadko zbłądzisz!

Ot, dlaczego lubię szachy!

Objaśnienia:

Po każdym: „Ty“, „Twój“, „Tobie“ itd., należy i proszę dopowiedzieć sobie: „...Szanowny Czytelniku!“ —

Po każdym twierdzeniu powinno być: „...moim zdaniem“.

RAJMUND FIKSIŃSKI

Biel

Śnieg kwiecił bruki miejskie srebrnymi liliami płatków, sypał się gdzieś z wysokości niezmierzonych, mglistych, dalekich.

Nad blokiem zszarzałych kamienie wisiała jeno biała, nieprzenikniona plama, a w dole wciąż drgał rój srebrzysty...

Cisza wzięła wtedy w swe ramiona nie dawno tak gwarny, huczący dniem i nocą świat, ukołysała go melodią, co rwała się już całą swą mocą ze serc i dusz, choć ranek dopiero, jak bielona masa domu, sunął przez ulice powoli, ospale.

Coś kołatało, coś dzwoniło w człowieku, budziło się w ten cichy, mistyczny, biały dzień, wołało, że Syn Boży zstępuje na świat, by ukoić bóle i troski, pocieszyć i pokrzepić, złamanych podźwignąć; że jawi się On między nami, na rozstajach dróg, w szarzyźnie życia — wszędzie: On — człowiek...

Przez tyle dni, przez zimowe, rozbełkotane zawieje, przez łomot wichru, w wiosennych, złotych uśmiechach nie było Go przed oczyma ludzkimi.

Jeno gdzie niegdzie kwiecił się w duszach, płakał na krzyżu rozpięty, ale On: Bóg, Władca, Pan!...

Dziś — pukał w zniszczone przez ostrze czasu wierzeje serc, podchodził tak blisko, że słysząc było Jego oddech cichy, spokojny, jak ten bezkres bieli, co srebrzyła się na świetle...

Michał Framuga obudził się.

Zgrzebnym, zbrukany łańchem otarł zaropiałe oczy, przeciągnął zgnębane członki i siadł na zgniłym ścierwie mokrej słomy:

— Psiakrew! Zimno bierze, aż strach! —

Jak mogło być ciepło, kiedy cała ta drewniana buda chłoneła przez rozstrzępione deski, szpary, wyrwy — wirujące płatki śniegowe, a mróz lodowacił ścianki kołtuniastymi brodami sopli, siedł do wewnątrz, ścinał krew w żyłach.

— Sobacze życie! Diabli nadali! — splunął na ziemię, chciał ruszyć nogą, ale zmarzły i stały się, jak kłody.

Tępy wzrok wbił w rozczłapane błoto.

Coś kotłowało się w głowie.

—Więc to dziś... przyjeżdża ta świnią! — Wyrzucił mnie już dwa miesiące temu z fabryki... A ja głoduję, kradnę, robię, diabeł wie, co.

Potem już głośno zaczął wyrażać swe myśli:

— Czekaj bratku!... Z Frankiem ci dzisiaj pokażemy! Nie będziesz od dziś świecił swą rzepą! Udawał bruderszaft! — Zemszczę się, zemszczę!!...

Wymówił to z taką emfazą, aż zwarły mu się sękate pięści, błysnęły białka oczu.

Dwa miesiące już był na bruku. Ot, w tej budzie „mniszkał“.

Wicher hulał tu jesiennymi dniami, nocami a teraz zima weszła przez szpary, głodna, jak żebrak.

Wszystkie struny cielesne wołały: Żyć! Żyć!

Szedł i kradł, rabował — potem uciekał, krył się, bo byli już na jego tropie.

Niewiele tam z tego miał. Głód wstrząsał ciałem, jak dawniej, w dodatku — przyjaciel jego i kolega — Franek brał swą „część“.

On to wprowadził Michała w błędne koło.

Chwycił się, jak Franek „pocziwiec“ tłumaczył, tej ostatniej deski ratunku.

A jednak było mu tak źle, niewymownie źle, straszno, zimno, chłodno...

Uczucia, które dotąd pieścił, szanował — teraz zagasił, jak ognisko.

Tylko z dnia na dzień rosła, potężniała, olbrzymiała nienawiść do owego dyrektora, co pozbawił go pracy w on szary, zamglony, jesienny dzień.

Nie czuł, z jakim smutkiem mówił on do nich:

— Nie macie pracy! —

Wtedy był oszołomiony samym sensem tych słów.

Nie wiedział, że dyrektor nie wyjechał nie z obawy, ale dlatego, że boleść go ogarnęła, rozpacz i smutek. To jedno słowo zelektryzowało wszystkie władze Michała.

— Zabić! Zabić! — Oh! Nikczemnik!

Byle mnie Franek nie zawiódł! Bo on już coś kręci. Może oszukuje... dla siebie więcej bierze... Stroi się... Uduje pana... A ja dziad — żebrak...

Znagła spojrzał przed siebie. Przez szpary bieleły się płatki śnieżne, leciały płynęły, miękko osiadały na ziemi.

— Taki dzień! Taki ładny dzień! Dzisiaj wilia tam u innych. — A ja?

Hej! dawniej... inaczej — coś się w nim ruszyło. — Matka wyrzekła się... Może przyjedzie dziś do kościoła, jak zawsze? — Zgłuszył wspomnienie.

Tylko w oczach została ta cicha, święta biel śniegu, co płynęła, płynęła...

Potem rozruszał zziębłe nogi, wygrzebał się jakoś z barłogu, kopnął ściervo słomy i wyszedł.

Było południe.

Na ulicach sterczały jeno kosmate postacie śmieciarzy, co zgarniali kupy śniegu wciąż, wciąż...

Nieliczne tylko osoby wibrowały po chodnikach.

Czasem zadzwieczał dzwonek sani, sunących po srebrnej kołdrze tak cicho.

Zresztą wszędzie było mglisto, białe i srebrno.

Michał poszedł do Franka. Otworzyła mu „mieszkanie“ stara pożółkła baba.

— Jest Franciszek? — zagadnął.

— Gdzie tam! Wyszedł! — Niecierpliwie zamknęła drzwi. Leniwie włókł się teraz liniami ulic.

Myślał:

— Może czeka tam na umówionym. —

Dowlókł się do miejsca, już z góry upatrzonego.

Opodał rozpoczynały się szczerze pola.

Teraz znów biel i biel.

Do uszu dobiegał stale huk i świst pociągów, pędzących nie-daleko w osrebrzoną dal...

Nie było Franka.

— Eh! Boże! Tak dziwnie się składa! Nikogo nie ma... Powinien już wnet przyjść... na piątą... Bo jakby nie.. jakby nie... —

Zgnębiony położył się za węglem jakiegoś domu.

— Sobacze życie!... nędza... teraz Franek...

Nagle usłyszał dźwięk sanek. — Metaliczny, srebrny odgłos dzwonka przedarł powietrze.

Zaszarzały przed nim rosłe kadłuby koni... niedaleko. Zdało mu się, że w tym wsążku matka jedzie. Tak, to z pewnością matka.

— Jedzie... do kościoła — myślał, choć zdawał sobie sprawę, że dopiero wieczór się zbliża.

On tam wiedział, kiedy pasterka!...

Chciał biec do niej po ratunek, po życie... Coś go wstrzymywało... Może ta biel śniegu dzieląca ją od niego.

Ucichł dzwonek. —

Pozostała tylko śnieżna, drżąca dal.

I teraz całą falą wróciły do niego wspomnienia.

Dawno... kiedyś jechali tak samo srebrzyscie do kościoła. Kiedyś śpiewał całą piersią hymn radości. Kiedyś — zakwitało w nim wesele, jak szczerozłoty kłos. W cichą, wigilijną noc schodził do niego Bóg, jak schodzi do innych zwierzątek i daje im mowę ludzką. —

A dziś!...

Nie ma Franka. — Opuścili go wszyscy... Jest sam... W fabryce było inaczej — miał kolegów... Ach! prawda: ...Ten dyrektor przecież... też miał dla nich uczucie... Podczas pracy zachęcał, urządzał Gwiazdki robotnicze a potem...

— Cemu nas „wylał“?...

Ani się spostrzegł, jak zaczerniał przed nim ktoś.

To Andrzej — kolega, też razem z nim na bruku z żoną, dziećmi. —

— Co Michał? Czekacie na kogoś, żem was trafił? — Oduurzony przybyciem, opuszczony przez wszystkich, wyjawiał Jędrychowi, dlaczego czai się za domem na tym miękkim śniegu. Tamten spojrzał na niego, złapał się za głowę, potem ją zwiesił.

— Michał! Cóż ty!! Na miłość Boską, nie rób tak!! On nie winien... Sam wyjechał, bo był rozstrojony nerwowo, że... że musiał odprawić tyłu... —

W duszy Michała coś się dzieje.

...Więc to nie on... nie on...

Szumia te słowa, ogarniają serce.

Ten wypieszczony przez nędzę gmach zemsty, rozpada się, jak domek z kart.

— Nie zrobię... Cemuś mi tego szybciej nie powiedział?

— Nie widzieliśmy się. Uciekałeś... —

— Wyłem nocami z nienawiści... Płakałem.

Zemsta we mnie niczego nie zrodziła... —

— Nie szukałeś roboty? Widzisz ją już znalazłem od dwóch tygodni. —

— Nie. Kradłem. —

— Michał! Michał! —

Tamten skurczył się, zbielał, jak płótno. —

— Wiesz co? Franek mnie oszukiwał... Chodźmy do kościoła! Bóg dzisiaj dla mnie zrobił wilię! —

Poczępali.

Noc już wisiała czarna, pierwsze gwiazdy migotały, błyszczały, jak brylanty niosły daleko blaski na czarnych skrzydłach ciemności.

W takiej godzinie zstępował na ziemię ten, co to hen, tam w Betleem narodził się w biednej, drewnianej szopie.

Szedł znękanych — podźwigać, pokrzepić, oświecić.

A śnieg, jak białe konwalie kwiecił stopy Chrystusowe tak czysto, jak biel serc ludzkich o onej godzinie...

REISING RYSZARD

Poranek naszej ziemi

Przypomnę pokrótce najdawniejsze dzieje ziemi. Po oderwaniu się pasma gazów od słońca powstał z nich wirujący kłębek, który miał wygląd samoświecącej gwiazdy. Gorzała ona pierwotnie blaskiem żółtym, następnie czerwonym, w końcu światło jej zaczęło zanikać. Ziemia weszła w okres ostygania. Najpierw pokryła się cienką warstwą - powłoką, jakby bochenek wsadzony co dopiero do pieca. Gazy, teraz już niewidoczne, wydzielały się jednak z gorzącego rdzenia. Panowało straszliwe gorąco i było duszno. To też niebo było pokryte gęstymi i ciężkimi chmurami, z których szły na ziemię nieustanne burze i ulewy. Spadały na grunt gorący; woda parowała szybko i tworzyła znowu chmury i deszcze. Pod wpływem opadów gęstniała i twardniała pokrywa ziemi.

Ale powłoka ta nie była wcale spokojna. Pod cienką pokrywą gromadziły się olbrzymie ilości gazów, które rozrywały ją często i wybuchały w formie wulkanów, rozrzucając na wszystkie strony płomień, lawę i popiół. Ziemia przechodziła ustawiczne wstrząsy i wyginała się w góry i przeпаście. Deszcz, lejący z chmur, zmywał i wygładzał powstałe od wewnątrz nierówności. Powłoka była stale ruchoma: kurczyła się, marszczyła, pękała i wypiętrzała się, a przy tym stygła. Dopomagały do tego częste ulewy, które tworzyły w zagłębieniach zlewiska wody. Woda płynąca unosiła do zlewisk zmywany ze skorupy osad, który przetwarzał się w muł twardniejący pod wpływem ciśnienia wody, w ciągu milionów lat, w skały. Skały te wynosiły w górę działania podziemne gazów i ognia.

Tak przez pierwsze miliony lat bytu ziemi trwała na niej ustawiczna walka ognia i wody, pod której wpływem zmieniał się jej wygląd zewnętrzny. Powierzchnię ziemi tworzyły nagie

skały, wulkany ziejące ogniem, morza i rzeki; wewnątrz zaś pracowały buntownicze, gorejące gazy. Ziemia była pusta. Ani śladu roślin lub zwierząt nie ujrzałoby oko ludzkie, gdyby w tej dusznej i upalnej atmosferze mógł żyć człowiek.

Po wielu milionach lat ożywiła się ziemia. Umysł ludzki nie zbadał dotychczas, skąd i jak wzięło się życie. Jest to nieodkrytą tajemnicą Stwórcy, przed którym korzy się myśl uczonego badacza. Życie na ziemi zaczęło się w głębi pod wodą. Pierwsze jego ślady znajdujemy w starych skałach, które powstały z błota morskiego, w postaci wodorostów i robaków tak drobnych, że ich szkielety można oglądać tylko przez silne szkła powiększające.

W następnym okresie, jak pouczają nas odciski w stwardniałym mule i skamieliny, ukazały się w morzach i jeziorach ślimaki, robaki, wodne rośliny, zwierzęta i raki. Do najstarszych zwierząt należy zaliczyć t. zw. trybolity, przypominające kształtem olbrzymie wszy, pokrewne obecnym krabom morskim.

Ziemia była naga i pusta. Suszyło ją gorąco, zlewał deszcz. Prawie bez przerwy szalały burze: krzyżowały się błyskawice, huczały grzmoty, trzęsła się ziemia. Tylko w wodzie nieśmiało kielkowało życie. Jedne twory powstawały i przystosowywały się do zmieniających się warunków, inne słabsze i nieudolniejsze ginęły, pozostawiając czasem ślad swego bytu w stwardniałym na skałę błocie.

Tak minął ten „pierwszy dzień życia” na ziemi, trwający może dziesięć, a może sto milionów lat. Dzień następny, to pierwszy okres życia roślin na ziemi, to epoka paproci. Powietrze nadal gorące, duszne i parne, stale równe. Nie było jeszcze pór roku. Na nizinach, gdzie więcej było wilgoci, wyrastały dziwne lasy. Drzewa rosły do stu metrów wysokości. Na mokradłach krzewiła się niesamowitego wzrostu drzewiasta trzcina. Wśród niej wyrastały do 30 metrów wysokości, grube na metr rośliny, przodkowie naszego skrzypu, marnego dziś chwasta. Obok tych wielkich skrzypów stały jeszcze większe paprocie drzewiaste i potężne drzewa, od których pochodzi dzisiejszy skarłat, przy ziemi ścielący się widłak. Była więc zieleń, lecz nie ubarwiona żadnym kwiatem.

W puszczy takiej panowało głuche milczenie. Zaden świergot, ani śpiew ptaków, ani ryk zwierząt, nie przerywał ponurej ciszy. Czyżby nie było żadnych istot żywych? Otóż były ruszające się, a nawet latające stworzenia, które budziłyby dzisiaj przestрах i obrzydzenie.

Powierzchnia ziemi, znana nam bliżej, wyglądała zgoła inaczej. Gdzie dziś są Karpaty i Tatry, zalegała równina, ciągnąca się aż do dzisiejszej Skandynawii. Morze wypełniało obecną Rosję i Syberię. Ziemię nawiedzały wśród gęstych błyskawic i pio-

runów straszne nawałnice. Od razu pęczniały rzeki i powódź z niesłychaną siłą wód waliła lasy i zagaje, wyrzywała drzewa z korzeniami, zagarniała żyjące wśród nich stwory i niosła je do najbliższego jeziora lub morza. Wkrótce nagromadziły się na dnie olbrzymie pokłady pni, gałęzi, liści i padła zwierząt. Wszystko to przykryła woda, muł i piasek, nie dopuszczając do gnicia. Natomiast masa ta skutkiem nacisku z góry osiadła szczelnie i zwęglala się. Tak powstał węgiel, którym palimy dziś w piecach i który przerabiamy na gaz, smołę i setki innych przetworów. W tym węgla znajdujemy ślady i odciski liści i zwierząt z tamtej, odległej o miliony lat, epoki, którą zwiemy porankiem naszej ziemi.

MARIAN DOLATA, lic. mat. - fiz.

On też się twórcą mieni

Był dzień, kiedy rzecze Pan Bóg
Wszechstwórca, Wszechrzeczy,
Aby się niebieskie ciała
Utworzyły z cieczy.

Kiedy z nicości powstała
Słońca kula złota,
Wnet ją Stwórca — tchnieniem woli,
W ruch przedziwny miotą.

Z pierwiastków ją Stwórca złożył;
Najróżniejszych znaków.
Jahwe Silny — Przebogaty —
W gorejącym krzaku
Potem z każdego pierwiastka
Wyjawszy słońcu: część małą
Na nowo je Bóg połączył
Nowe stworzył ciało...

Był też mniejszy twórca — pisarz!
Co napisał dzieło.

Było również: pisarzátko
Co zeń części wzięło
A skleiwszy, jak się dało,
Ku wiedzy publicznej;
Daje z dumą do „Promienia“:
„Artykuł techniczny“!

Fiksiński Rajmund

„Orka na ugorze“

(Dokończenie)

Ciężka to praca. Niweczą ją: przesady i ciemnota wsi, do pewnego stopnia rozłam stanowy wśród górali („gazda“ — biedak) — dawna niechęć i uprzedzenie do słowa: „szkoła“ wśród rodziców i wreszcie ta głucha, rozpaczna nienawiść, zażyłość ludzka. Czyż ma ta szara nauczycielka jakąś nagrodę, za to uświadamianie i budzenie wsi?

Nie tylko bowiem w szkole kształci charaktery, lecz stara się zmienić mściwego Biela, jest nawet pośredniczką między nim a żoną. Ale oboje trwają w uporze!

Czyż ma wynagrodzenie? Gdzie tam!

Uczy z troską o umysły dzieci, spełnia wielki obowiązek, a ta krwawa praca odbiera jej pamięć i zdolności...

A tymczasem w Bielu rozpała się płomień nienawiści. W jakiejś kapliczce śle ku niebu tajne zaklęcie — „Babry“ po raz drugi nic nie zdziałały. — Zrozpaczony podpala chatę. Nagle w głowie jego rodzi się błyskawica myśli.

Jezu! — Przyciesie kładł pod ten dom własnymi, skrwa-wionymi rękami — a teraz pali.

Zerwał się...

Nie bacząc na nic gasi, ratuje, ile tylko może.

Uratował.

Uchodzi śpiesznie, bo obudziła się struchlała żona. — Biel ucieka przed ludźmi.

Udaje się jeszcze tylko do chaty Malinowskiej i błaga ją o przebaczenie, bo wierzy, że on winien jej choroby.

Od dawna już mu przebaczyła. Prosi go nawet Malinowska, by pozostał (razem), gdy już innego przytułku nie ma, by klepał z nią biedę. —

Nie chcę...

Wychodzi na mróz, bo zima już puka do szyb. Jest samo święto „Bożego Narodz.“ — „Święto Miłości“ co głosi „Ewangelię pojednania“. Wyraża autor wątpliwość, czy zabłyśnie kiedyś nad tą zbiedniałą wsią góralską świt wzajemnej łączności człowieka z człowiekiem, światło co rozjaśnia mroki umysłów prawdziwą mądrością. Już w „Tęczy nad sercem“ powiedział Wiktor: „Największą mądrością — jest mądrość serca“. — Nie zgodzę się z poglądami religijnymi, jakie wypowiada Wiktor w „Orce“.

Czy czasem przez usta Tomali nie przemawiają idee Rousseau'a? Czyż nie można by nazwać modlitwy do natury, zamiast do Boga, w którego kościołach jest „ciasno“, pogańskim humanizmem?

Dziś trzeba realnej pracy, z zaparciem i poświęceniem się dla drugich.

„Swoje troski trzeba rzucić, jak smolną szczapę na ognisko, niech dodadzą światła drugim!“ —

A gorzki trzeba orać ugór.

Dlatego do takiej pracy nadają się ludzie pełni zapału, jak Tomala, rozpłomienieni wielką ideą „nowoczesnego Judyma“. Wtedy dopiero „każdy dojdzie do swego słońeczka“.

Wtedy „rozgorze“ upragniony, złoty świt, wtedy zrodzi się „mądrość serca“. —

W książce Wiktora podziwiać trzeba język, czysty, barwny, giętki i mieszczący w sobie szereg wartości literackich.

Ze wszystkich postaci przemawia do uczucia, ale to do uczucia tragicznego — Biel.

Jednak głębokie, niezatarte wrażenie pozostawia cicha postać nauczycielki — przemawiająca do nas właśnie tą „mądrością serca“. —

Najsilniej chwytła nas za serce — dola Malinowskiej. — Bolejemy wraz z nią nad jej kochanymi „dziopietami“, co miłują jednak matkę, mimo, że tę miłość stara się rozzerwać dziadek. Zatem: pięknie jest przedstawiona w „Orce“ — potęga uczucia.

A teraz na koniec wspomnę jeszcze, że Wiktor jest w całej pełni realistą. — Wszystkie rozgrywające się wypadki oddane są z niezwykłym poczuciem rzeczywistości, co jest dziwne, gdyż z innych powieściach Wiktora nie spotykamy tego („Tęcza nad sercem“).

Ze zbytnej jednak wyrazistości przy oddawaniu poszczególnych scen możemy autora rozgrzeszyć, jeśli się zważy, że miała ona na celu jak najlepsze przedstawienie życia.

Stąd też bierze za złe Reymontowi i Żeromskiemu, że przedstawili życie nierealnie (np. Reymont: język „Chłopów“ — Żeromski naśladowanie języka warstw niższych w „Ludziach bezdomnych“).

Reising Ryszard

Pan Tadeusz - Herman i Dorota - Wiesław MICKIEWICZ GOETHE BRODZIŃSKI

Powyższe porównanie będzie tylko szkicem, dającym ogólne pojęcie o wspólnych i różnych cechach tych autorów, bo temat to tak obszerny, że choćby o samym „Panu Tadeuszu“ powstały tomowe dzieła. Źródła do opracowania czerpałem z wstępu dr Z. Zagórowskiego do wydania Biblioteki Narodowej Hermana i Doroty Goethego a głównie z własnych spostrzeżeń.

Mamy przed sobą trzy dzieła i autorów dwóch różnych narodowości: Mickiewicz z Litwy, Brodziński z Polski, Goethe z Niemiec. Pierwszy powstał „Herman i Dorota“ Goethego,

w ślad za nim „Wiesław“ Brodzińskiego i wreszcie „Pan Tadeusz“ Mickiewicza.

Jak widzimy, dwa ostatnie utwory powstały później i były pisane pod pewnym wpływem pierwszego. Stąd będą one miały pewne cechy wspólne, ale nie braknie też i różnic, bo przecież autorowie w trzech różnych krajach mieszkali.

Przyjrzyjmy się pobudkom, które skłoniły poetów do napisania tak kapitalnych dzieł. Goethemu, jak mówi dr Zagórowski, przyświecała idea odkrycia piękna w małych ludziach i codziennych troskach idea podniesienia ich do wyżyn arcyzmu.

Brodziński napisał swego Wiesława z wdzięczności dla ludu, wśród którego szczęśliwie spędził swe sieroctwo. Ale jest i druga przyczyna: chęć naśladowania Goethego.

Mickiewicz pisał głównie pod wpływem uczucia tęsknoty „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych“. Już od młodości marzył on o napisaniu utworu z życia szlachty litewskiej; nie bez znaczenia pozostały słowa prof. Gansa w Berlinie zwrócone do Mickiewicza z zachętą napisania epopei napoleońskiej.

Wreszcie ostatnią pobudką był utwór Goethego. Mickiewicz sam mówi o tym w jednym ze swych listów: „Piszę teraz poema szlacheckie w rodzaju „Hermana i Doroty“ Goethego“.

Wszystkie trzy utwory należą do poezji opisowej: jeśli zaś chodzi o gatunek dzieła, to „Pan Tadeusz“ jest epopeją, „Herman i Dorota“ sielankową epopeją a „Wiesław“ wybitną sielanką.

Wspólnym, głównym motywem jest wszędzie miłość młodego człowieka ku osobie nieznannej i to z wynikiem zawsze po-myślnym mimo motywów tragicznych i przeszkód, na które bohaterowie natrafiają. Przedstawiają obraz społeczeństwa w chwili spoczynku. Przecież słyszymy, jak w „Tadeuszu“ powraca sędzia z pola, widzimy w „Hermanie“, jak idzie ze swą wybraną wśród złotych zbóż, dowiadujemy się w „Wiesławie“, że Bronisława wróciła z pola, ale nie widzimy nigdzie ludzi przy zawodowym zajęciu.

Podobne jest tło wydarzeniowe dla „Tadeusza“ i „Hermana“, mianowicie wojna. W „Wiesławie“ wojna była już kilkanaście lat przed akcją, ale bardzo wpłynęła na nią, bo przecież Wiesław i Halina stali się od tego czasu sierotami.

A jakie różnice dzielą te utwory?

O ile w „Wiesławie“ i Hermanie“ miłość jest głównym motywem, to w „Tadeuszu“ jest ona współczynnikami do akcji Jacka Soplicy. Mamy tu też żywszą akcję niż w tamtych dwóch utworach, przecież aż trzy sprawy dzieją się równocześnie: familijna, sąsiedzka i polityczna, wszystkie jednak one łączą się w jednej a mianowicie rodzinnej. Niezależnie od tego epopeja kończy się zaręczynami aż trzech par, podczas gdy w tamtych

dwóch tylko jednej. Stąd też uczucie miłości w „Tadeuszu” nie jest tak gorące, żywe, pełne jak w „Hermanie”, gdzie jest ono głównym motywem.

Największą różnicą między tymi poematami jest różnorodność stanowa i miejscowa.

„Tadeusz” daje nam głównie obraz życia szlachty zagonywej z Litwy, „Wiesław” przedstawia moment z życia chłopaka krakowskiego a „Herman” pokazuje życie małomiasteczkowego obywatela niemieckiego. Akcja dzieje się z końcem XVIII i na początku XIX wieku, trwa u Mickiewicza pięć dni, u Brodzińskiego dwa dni a u Goethego tylko pół dnia. Jest to również wpływ klasycyzmu, który w utworze ciągle dostrzegamy.

Jak są poematy zbudowane?

„Tadeusz” ma dwanaście ksiąg a wierszy około dziesięć tysięcy, „Herman” dziewięć ksiąg a wierszy okragło trzy tysiące, „Wiesław” pięć pieśni a wierszy zaledwie osiemset.

W pierwszym utworze jest należyta inwokacja, ekspozycja i epilog, który właściwie powinien być prologiem; w dwóch następnych poematach ekspozycja jest niewyraźna, raczej ukryta w końcu pierwszej pieśni, inwokacja zaś jest tylko u Goethego i ma inny charakter niż u Mickiewicza. Nie jest ona wezwaniem do Boga o pomoc do napisania utworu, lecz do rozwiązania trudnego położenia bohaterów, którzy się w nim znaleźli, stąd też jest ona nie na początku utworu, ale dopiero w ostatniej pieśni.

Przyjrzyjmy się językowi i stylowi.

„Tadeusz” i „Wiesław” pisane są po polsku, „Herman” po niemiecku; tytuł właściwy jest „Herman und Dorothea”.

Mickiewicz mówi językiem szlachty zagrodowej, styl jego można by określić jako skromną prostotę; w opisywaniu obrazów cechuje go doskonała plastyka, szczególnie lubi używać obrazowych porównań, jak np.

„Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i badyłów,
Wisiała jak baldachim jasna mgła motylów,
Zwanych babkami, których poczwórne skrzydełka,
Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,
Gdy w powietrzu zawisną, zaledwie widome,
I chociaż brzęczą, myślisz, że są nieruchome”.

Wiersz jest trzynastozgłoskowcem o rymach a, a; b, b, często bardzo prostych, nawet czasem t. zw. „częstochowskich”; ale nie to jest głównym walorem dzieła.

Goethe pisze językiem małomiasteczkowego mieszczanina, jednak wyidealizowanym i przeplatanim archaizmami (znów chęć naśladowania starożytności). Osoby jego mówią wszystkimi tym samym językiem mimo różnego wieku i wykształcenia.

Podczas gdy Mickiewicz i Brodziński odnoszą się do swego dzieła subiektywnie, to Goethe obiektywnie (to też jest wpływ klasycyzmu).

W przedstawianiu akcji, czy obrazów cechuje go doskonała plastyka i klasyczna naturalność. Posłuchajmy przykładu: „Jakom żyw, nie widziałem i rynku i ulic tak pustych! Miasto jak wymiecione! jakgdyby wymarłe!... Zaledwo, zda się, kilkudziesięciu mieszkańców naszych zostało*)”.

— Wiersz jest zbudowany na wzór starożytnego heksametru, jednak o wielkości stóp nie świadczy długość zgłoski lecz akcent, jak np.

„Ist	die	Stadt wie ge-	kehrt?	Wie	ausge-	storben!	Nicht	fünfzig“
<u>1</u>	<u>2</u>	<u>3</u>	<u>4</u>	<u>5</u>	<u>6</u>	<u>7</u>	<u>8</u>	<u>9</u>
1		2	3		4	5		6

„Wiesław“ jest pisany w języku literackim, mimo, że mówi nim ludzie wiejscy. Styl można by nazwać sielankowym. Lubi Brodziński używać pięknych obrazowych określeń, jak „rumiany wstyd, samotne łzy, niecierpliwe słowa, zaczepne krzawy“. Wiersz nie jest regularny, ma około dziesięciu zgłosek, rymy są a, a; b, b. (C. d. n.)

HENRYK KAMIŃSKI.

*) Tłumaczenie Ludwika Jenikiego.

Z TEKI WZOROWYCH WYPRACOWAŃ

Postacie kobiece w poezji A. Mickiewicza

Nie jakieś szczególne zainteresowanie się tym tematem skłoniło mnie do jego wyboru, lecz fakt, że Mickiewicz w swej twórczości poetyckiej daje nam całokształt typów kobiecych, począwszy od najprostszych, najszlachetniejszych i najczystszych (Zosia w „Panu Tadeuszu“ lub Ewa w „Dziadach“ drezdeńskich) poprzez kokiety, kobiety nieszczęśliwe z miłości, aż do kobiet zwyrodniałych, o ciemnym charakterze („Lilie“). Znajdziemy u niego kobiety o duchu męskim, bohaterskim (Grażyna), znajdziemy kobiety zdolne do największego poświęcenia (Aldona z „Konrada Wallenroda“), znajdziemy kobiety bez serca, zimne („To lubię“), znajdziemy płytkie, pełne pretensjonalności (Telimena). Bogactwo tych typów kobiecych, ich różnorodność z uwzględnieniem wszelkich odcieni kobiecego charakteru daje nam poznać jeszcze jedną olbrzymią zaletę Mickiewicza, mianowicie jego niezwykłą bystrość i wnikliwość w obserwacji ludzi.

Grażyna to bohaterka! Można by nawet zaryzykować takie twierdzenie, że to mężczyzna w spódnicy, tylko, że ten „mężczyzna“ łączy w sobie i niepospolitą odwagę oraz siłę woli i właściwą kobiecie prostotę w rozumowaniu i tkliwość.

W Aldonie znajdujemy typ kobiety zdolnej do największego poświęcenia się, do bezgranicznego wprost wyrzeczenia się własnych dążeń, własnego dobra i złożenia go na ołtarzu powinności i obowiązków wobec Ojczyzny. Jest to kobieta uznająca, że tam, gdzie wzywa Ojczyzna, odsunąć trzeba wszelkie sprawy prywatne, choćby stanowiły one oś życia i jego cały urok.

„Ballady i romanse“ są przepięknymi obrazkami w których występują przeważnie kobiety. W Karusi, nie mogącej pogodzić się z tym, że jej Jasio już nie żyje wyczuwamy prosty typ dziewczyny z głęboką, niezachwianą wiarą, którą najlepiej przedstawiają jej własne słowa:

„Jasio być musi przy swej Karusi...”

Naiwny a zarazem bardzo piękny i wdzięczny typ kobiety mamy w „Rybce“. Tak te postacie, jak i owe które znajdują się w „Kurhanku Maryli“, „Ucieczce“ (kobieta dla miłości poświęciła wszystko — coś przeciwnego niż u Aldony), „Świtezii“, „Świteziance“, stanowią przejście do kobiet, na samo wspomnienie których myśl nasza wzdrzyga się: kobieta pusta, o sercu zimnym, nielitościwa, znalazła swój odpowiednik w ball.: „To lubię“, kobieta zaś fanatyczka, dewotka, okrutna, nielitościwa, znalazła swój typ w „Liliach“.

Bardzo subtelne i proste a tak piękne i wzniosłe swoją prostotą są dwa typy kobiet: Zosia i Ewa. Zosia w „Panu Tadeuszu“, to dziewczyna prosta, o szczerym sercu, niepokalanym ideałach, Ewa („Dziady“ dreźnieńskie), jej odpowiednik, to dziewczyna dobra do tego stopnia, że otrzymuje nawet widzenie.

Kokietkę, kobietę kładącą nacisk tylko na zewnętrzną wartość, w gruncie rzeczy płytką, przedstawia nam poeta w Telimenie. Imponuje tylko górnolotnością wypowiedzianych myśli, lecz nad nimi się nie zastanawia. Typ kochającej bezgranicznie matki odzwierciedla Mickiewicz w p. Rollisonowej, która dla dobra swego syna umiała się zniżyć do prośb a później nie wahała się przeklinać.

Grono manekinów kobiecych, pustych lalek, pokazuje nam Mickiewicz na balu u Senatora (w „Dziadach“ cz. III).

Teraz puszczę na chwilę wodze mojej wyobraźni: Grażynę przedstawiam sobie jako kobietę na spienionym rumaku, zaku-tą w zbroję, o energicznych ruchach, szybkiej decyzji, kobietę, która w drobnej, słabej dłoni niewieściej ściska z mocą miecz skierowany w pierś wrogów. Aldona to wyidealizowana kobieta czerpiąca moc z samotności, z częstego obcowania z Bogiem w samotnej celi. Postać z „Lilii“ wyobrażam sobie jako kobietę z rozwianym włosiem, biegnącą przez łąkę do chatki pustelnika, ściskającą skrwawiony nóż i szepczącą słowa modlitwy.

ST. JAŚ.

Święta noc

Na ciemnym nieboskłonie
Migocą gwiazd tysiące.
W ognikach niebo tonie
I w blaskach łśni miesiąca.

W tę świętą noc grudniową
Gdy Bóg na świat przychodzi,
Ciałem się staje Słowo,
To niebo w gwiazd powodzi
Zawisłe wśród przestworzy,
Przed Panem w czci się korzy.

Zaś mlecznej drogi szlakiem
Trzej ziemscy władcy bieżą.
Kierują się gwiazd znakiem
Swemu przeczuciu wierzą.
Wszak skłonić się przed Panem
Chcą także i pogany.

A tam na ziemi, w dali,
Gdy pierwsza błysnie gwiazdka,
Choinka się zapali,
I w jej to złotych blaskach
Popłyną kolęd tony
Przed żłóbkim, Bożym tronem.

Nim jutrznia wstanie blada,
Narodzi się Pan świata,
Wszechświat mu hołd dziś składa,
Do Niego myśl ma wzłata.

FELIKS ORZEŁ.

Polski przemysł powojenny

Coraz rzadziej, na szczęście słyszy się twierdzenia, że np. wyroby farmaceutyczne, perfumeryjno - kosmetyczne, metalowe (noże) lub materiały zagraniczne są lepsze od krajowych. Smutny ten fakt można tłumaczyć jedynie snobizmem, brakiem zaufania do własnej produkcji oraz przyzwyczajeniem do starych marek przedwojennych.

Wszyscy wiemy, że przed wojną państwa zaborcze tamowały rozwój gospodarczy Polski; nie leżało w ich interesie, aby na ziemiach polski rozwijał się przemysł, który stanowi główne źródło dobrobytu narodów. Polska, po wojnie, do rozbudowy swego przemysłu przystąpiła w nader ciężkich warunkach,

wykorzystując przede wszystkim swe bogactwa naturalne. W 1936 r. wyprodukowała Polska 30 mil. t. węgla kamiennego. Po przyłączeniu Śląska Zaolziańskiego produkcja wzrosła o 7,5 mil. t. Zapas węgla kamiennego w Polsce oceniono na 158 miliardów t., gdy Zaolzie posiada 250 mil. t. Polska zatrudnia w przemyśle 850 tys. osób, a Zaolzie ponad 50 tys.

W Polsce nie ma działu wytwórczości, gdzieby rozwój nie występował w sposób bardzo wyraźny. Walnie przyczyniają się do tego odebrane Czecho - Słowacji tereny. Rozwój przemysłu da się zauważyć w C. O. P.-ie, który powstał dzięki potrzebie istnienia nowych warsztatów pracy.

Przemysł metalowy w coraz większym stopniu rozszerza zakres swej produkcji i bogactwo jej, stanowiące dorobek ostatnich lat. Produkcja stali stworzyła podstawy do rozwoju przemysłu narzędziarskiego, którego kilka lat temu wcale nie było. Obecnie produkcja narzędziarska pod względem poziomu nie ustępuje zagranicy.

Przemysł włókienniczy, który przed wojną był nastawiony na produkcję wyrobów grubszych dla ludności b. imperium rosyjskiego i Dalekiego Wschodu, potrafi pokryć zapotrzebowanie bardzo wymagającego rynku wewnętrznego, wyrabiając cieńsze tkaniny: z jedwabiu sztucznego i naturalnego, który przed wojną musiano przywozić z zagranicy.

Rozwój i szeroką produkcję wykazał przemysł lniany, którego podstawą jest surowiec krajowy.

Duży postęp wykazał przemysł elektrotechniczny, czego przed wojną nie mieliśmy. W kraju pracuje sześć fabryk kabli.

Na czoło wytwórczości wysuwa się coraz bardziej przemysł chemiczny. Polska produkcja barwników wypiera rok rocznie potężny zalew niemiecki. Ostatnio daje się zauważyć coraz większą samowystarczalność przemysłu perfumeryjnego - kosmetycznego i farmaceutycznego.

Wojna celna z Niemcami od r. 1925 przyczyniła się do rozwoju przemysłu futrzarskiego o bardzo szerokim zakresie produkcji. Dotychczas zalewał nasz rynek bezkonkurencyjny przemysł z Lipska.

W r. 1924 przywieźliśmy wyrobów konfekcyjnych na 114 mil. zł. Obecnie przywóz spadł do 3,5 mil. zł. Cyfry te najlepiej świadczą o rozwoju tej gałęzi przemysłu, mocno zbliżonego do rzemiosła.

Największą liczbę zakładów w r. 1936 zanotowano w przemyśle spożywczym — 9 276, drzewnym — 2 380, włókienniczym 2 293, po czym kolejno następują inne: mineralny — 1 777, budowlany — 1 655, metalowy — 1 598, odzieżowy — 1 460, chemiczny — 929, poligraficzny — 663, skórzanym — 449, papierniczym — 284, elektrotechniczny — 206 i zabawkarski — 23.

Współpraca szerokich sfer społeczeństwa z aparatem produkcyjnym, zainteresowanie się możliwościami wytwórczymi kraju — stać się powinno naczelnym hasłem wszystkich obywateli w myśl zasady, że każdy odpowiada za przyszłość gospodarczą kraju.

K. WOSCHKE.

Skumbrie w tomacie...

Zdzych przeciągnął się i szybko wyskoczył z łóżka. Za oknem śnieg prószył, całował dachy domów, zimne bruki, potem rozpływał się z wstydu.

Zdzych nie zdążył zjeść śniadania, wsadził do teki pierwszą paczkę, jaką znalazł na stole i po chwili wyprysł z trzaskiem zamykającej się bramy na ulicę. Uderzył go w twarz zimny świst śnieżnego poloneza i czarny policzek błota z pod opon szybko mknącego Chevrolet'u. Do klasy wszedł już po dzwonku. Profesor zaczął czytać właśnie najnowszy wiersz młodego warszawskiego poety.

— „Skumbrie w tomacie! Skumbrie w tomacie!...”

— Nie dla mnie poezja (w tomacie!) — pomyślał zrezygnowany i począł przygotowywać łaćinę. Pod koniec lekcji namiętnie otworzył tekę, szukając śniadania. Wyciągnął starannie owiniętą paczkę, otworzył i...

— Psiakr...

Zamiast śniadania, znalazł blaszaną puszkę konserw.

— Skumbrie w tomacie!

Wpadł mu w oczy wyraźny, czerwony napis. Ze wstydu schował je do teki. Na pauzie chodził głodny z mocno spuszczoną głową. Spacerował sam, myśląc o skumbriach i o... śniadaniu. Reszta lekcyj minęła mu w jak najgorszym humorze. Ledwie przebrzmiał dzwonek, już pędem puścił się do domu. Na rogu zatrzymał go duży, krzykliwy napis na szybie znanego sklepu:

— Świeże skumbrie w tomacie!

Zaklął głośno ze złości. Jeszcze szybciej poszedł dalej. Drzwi otworzyła mu siostra.

— Wiesz co, Zdzychu? Znikła gdzieś paczka skumbrii w tomacie, którą wczoraj kupiłam.

Odepchnął ją nerwowo, wyrzucając, jednocześnie z teki swoje „śniadanie”. Spojrzała zdziwiona, śmiejąc się ze współczuciem. Zrozumiała. Zdzychu rozsiadł się w fotelu, otworzył radio i zasłuchał się w ładną, sentymentalną melodię... Po chwili speaker zapowiedział z flegmą:

— „Tango z opery „Skumbrie w tomacie“ w wykonaniu...”

Porwał się, jak rażony. Przy obiedzie opowiedział całą przygodę z śniadaniem w szkole. Potem zabrał się do przeglądania dziennika. Przeczytał cały dodatek sportowy, program radiowy. Na ostatniej stronie uderzył go nowy model aparatu fotograficznego i duża, wielobarwna reklama:

„Na wigilię polecamy smaczne skumbrie w tomacie.

Warszawa — Nowy Świat...”

Odłożył zrezygnowany. Nie miał już ochoty denerwować się. Siedział czas jakiś w zadumie, aż zerwał go krótki, ostry dzwonek.

— Poczta! — kłaniał się listonosz.

Nerwowo rozdarł kopertę.

„Kochany Zdzichu!

W Warszawie u nas nie wiele nowego. Na wakacje wyjeżdżam prawdopodobnie do Zakopanego. Chyba się spotkamy na kursie? Tymczasem życzę Ci „Wesołych Świąt“, przyjemnych wakacyj i — smacznych skumbrii w tomacie!

J a n e k“.

— Do diabła! Oni dziś chyba wszyscy zwariowali.

Nasadził czapkę na bakier i wybiegł na miasto. Po chwili nieśmiało wchodził do księgarni.

— Pan ma życzenie?

— Chodzi właśnie o... książkę... podarek dla siostry na gwiazdkę...

— Mogą być wiersze?

— Naturalnie!

Zgrabny subiekt skoczył na drabkę i po chwili zniósł świeży, mały tomik.

— Ostatnia rzecz Gałczyńskiego!

— Gałczyński?... Konstanty Ilfonens?... Acha, już pamiętam! Z zaciekawieniem otworzył. Był to zbiór wierszy. Trafiał na ostatnią zwrotkę:

„Skumbrie w tomacie! Skumbrie w tomacie!

Chcieliście Polskę, no — to ją macie!

Skumbrie w tomacie, pstrąg!”

Początkowo już chciał odrzucić. Przeczytał jednak cały wiersz, zamyślił się trochę, kazał zawinąć i bez słowa wrócił do domu. Do kolacji zasiadł milcząc i z apetytem jadł skumbrie w tomacie. Później czytał całą książkę Gałczyńskiego, na zakończenie specjalnie ten wiersz. Położył się spać o godz. 11-tej. Długo nie mógł zasnąć. Nagle poruszył się nerwowo... Brat na drugim łóżku mruczał coś przez sen. Przysłuchiwał się i serce zabiło mu szybciej, wyraźnie słyszał:

„Skumbrie w tomacie,

Chcieliście Polskę, no —...”

resztę stłumił niezrozumiały bełkot.

Przewrócił się na drugi bok. Oczy miał otwarte. Zda-

wało mu się, że po ścianie skaczą jego skumbrie w różowej tomacie zmieszanej z bladą poświatą księżycy, a w uszach brzmiały mu dźwięczne słowa Gałczyńskiego. Umiał już je na pamięć:

„Skumbrie w tomacie... pstrąg!...”

A gdy się obudził, wciągając spodnie, zamiast „dzieńdobry” szeptał bezwiednie:

„Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie,

Chcieliście Polskę, no — to ją macie!

Skumbrie w tomacie, pstrąg!”

TADEUSZ RAJSKI

50 groszy...

Dzisiejszego dnia, jednego z wielu beczynnych dni, w których jedynym a żmudnym zajęciem było oczekiwanie na pracę, zupełnie niespodziewanie zaangażował Stefana któryś z gospodarzy do pospolitej czynności rąbania drzewa. Po raz pierwszy od niepamiętnych dni mógł znowu z pełną satysfakcją chwycić za siekiere, machać nią szeroko w powietrzu, znęcać się ze szlachetną okrutnością nad niewinnym pniem drzewa skazanego na siekaninę. Stefan wykonywał tę pracę z taką werwą, jak gdyby razem z drzewem rąbał swoją nędzę, jak gdyby silnym uderzeniem siekiery mógł ogłuszyć swą tęsknotę za pracą.

Robota trwała może godzinę. Tytułem „honorarium” za „operację” otrzymał Stefan 50 groszy.

50 groszy! Nawet tak drobnego pieniądza Stefan dawno nie oglądał. Co za rozkosz czuć się panem życia i śmierci takiego pieniądza srebrnego... koloru! — Stefanowi odrazu zgęstniała rzadka dotychczas mina. Przez dłuższą chwilę myślał tylko o srebrnym pieniądzu, zapominając, że nie wszystko srebro, co ma srebrny kolor.

— Co z takim pieniądzem można zrobić? Wszystko, prawie wszystko, czego tylko dusza chronicznie bezrobotnego zapraśnie!

Przez głowę Stefana, wsuniętą tchórzliwie pod podartą czapkę, przechodziły różne możliwości: może ten pieniądz „połupać” czyli zmienić „na drobne”, na najdrobniejsze, chociażby jednogroszówki, wtedy miałby dużo, dużo złotych, maleńskich pieniążków; może włożyć tę monetę do skarbonki — prymitywnej kasy ogniotrwałej lub do pończochy i (jeżeli ta pończocha jest ubrana, na nodze) czuć, jak przyjemnie zawadza w trzewiku ta 50-cio - groszówka, domyślać się: orzełkiem czy reszką jest do nogi zwrócona?; może złożyć ją w Kasie Oszczędności i codziennie zapytywać, ile procent „przyrosło”. Gdyby Stefan był tak bogaty, jak nigdy nie był i zapewne nie będzie (bo ciotki w Ameryce nie ma), mógłby ten pieniądz dać wspaniałomyślnie

komuś tak biednemu, jak sam Stefan w smutnej rzeczywistości. Gdyby zaś był wariatem, wyrzuciłby „nikłówkę“ z pogardą w „pomyjowo - polewkowe“ nurty rynsztoku. Wreszcie — jeżeli Stefan nie będzie wiedział, co z tym „skarbem“ zrobić, może tak długo nosić go „przy sobie“, aż ktoś mu go... ukradnie. Ukradnie!!! — Myśl ta ukłuła go w samą mózgowicę jakby wykrzywioną, zardzewiałą szpilką, lub złamaną „agrafką“. — Nie, do tak marnej utraty „majątku“ nie dopuści nie dopuści. Nie!!!

Przerażony wpadł do piekarni i za „całe pieniądze“ kupił jeden jedyny, uśmiechający się doń ponętnie, bochenek chleba. (Chleb jest suchy. Ze skwarkami czy (o zgrozo, co za myśl!) z masłem go nie sprzedają!)

Kupił chleb za „całe pieniądze“? Nie, nie za „całe“. Wydano mu z powrotem... 2 grosze! Tadeusz Z. O. Nabzdyk.

Pierwsze kroki

Idę zadumany „Kolejówką“. Naraz z zadumy tej zrywa mnie przeciągły i nieznany sygnał. Oglądam się i widzę samochód długi, niski, ze znakami przynależnościowymi GB (Wielka Brytania). Sunie cicho i wolno w stronę dworca. Nie zając marki tej maszyny, idę za nim. Po drodze spotykam kilku kolegów, którzy też zainteresowani tym samochodem idą ze mną. Samochód zastajemy przed dworcem. Szkoda — mówię, że nikogo w nim nie ma. Byłbym się coś nie coś zapytał. (Sądziłem bowiem, że będą umieli po polsku). No, ale czekamy. Kolega jeden zdążył już przeczytać nazwę wozu i przychodzi do mnie, mówiąc z triumfem:

— Wiesz to „Rolls-Royce“ — mówi. — Jeszcze takiej nie widziałem.

Przyglądam się nazwie. „Rolls-Royce“. Z wyglądu maszyny, oceniłem ją na jakieś 12 HP i 35 tys. zł.

Po chwili nadchodzi w kierunku maszyny czterech panów. Przysłuchuję się ich rozmowie i... psiakrusz... Anglicy. No, ale ponieważ trochę angielskiego znam, drapię się przeto w głowę i podchodzę do nich.

— „I beg pardon, Sir. How many a silk-hat has this car?“ (Ile cylindrowy jest ten wóz?)

Jegomość spogląda na mnie poprzez okulary i śmiejąc się mówi:

— „Twelve.“ (Dwanaście)

— „How many riding?“ — pytam. (Ile konna?)

— „Hundred fifty“. (Sto pięćdziesiąt)

— „And what is the price of this car?“ — pada ostatnie pytanie. (A jaka jest cena?)

— „Seventy thousand zloty polish“. (70 tys. złotych.)

— „O, thank you very much“ — mówię i odchodzę.

Natychmiast w około mnie tworzy się krąg kolegów i gapiów. Kolega jeden pyta mnie:

— No, i...

Czerwony jeszcze z tremy odpowiadam urywanym głosem:

— 12 cylindrów..., 150 HP..., a cena 70 tys. złotych.

Oto właśnie najwięcej nam chodziło.

Spoglądam raz jeszcze w stronę samochodu. Rozmówca mój rusza maszyną z miejsca, i śmiejąc się, kiwa przyjaźnie do mnie głową.

L. ROGACKI

Rozewskie reminiscencje

Lekkie, ledwie widoczne zgrubienie wód zapoczątkowuje falę. Zielony, przeźroczysty wał pęcznieje z chwili na chwilę, rośnie, wzdyma się. Gnany rozmachem tyłu poprzednich nabiera szybkości i już — jak balon nadęty do ostatnich granic — pędzi szeroką ławą. Wstaje coraz wyżej i zwężając boki prostuje ostry grzbiet. Chwilę trwa nieruchomo... i nagle żywiołowa siła w nim zawarta załamuje grzbiet, przegina go i wytryska fontanną śnieżnej piany. Fala maleje do połowy i z szumem pełza do brzegu pchając przed sobą pienisty warkocz. Swym impetem podrywa nadbrzeżne kamienie, zabiera ze sobą i, kładąc się spokojnie na ubitą ławę piasku, zostawia je na chwilę. Lecz oto wracają jej zagony wodne, które daleko w głąb zabłądziły i resztkami sił — pożerane i wchłaniane przez wiecznie pragnący piasek morski — zabierają naniesione kamienie i ostatkiem sił stawają murem przeciw nadchodzącej fali. Wykwita kaskada nowej piany z tej bratobójczej walki. Wreszcie obie fale: nacierają i powracające osłabiają się i stapiają.

Nowa fala nie ma już tej mocy, nie wysyła daleko swych zagonów, nie jest zdolna poderwać kamieni, tylko miękko i bezszelestnie osuwa się na ugnieciony i jak gąbka wodą przepojony piasek, spokojnie wraca do morza, znacząc swój pobyt na lądzie tylko mokrą plamą.

Tymczasem morze garbi się znowu, rosną i z łoskotem przelewają się bałwany, śliniąc się pianą, syczą i z bulgotem pchają swe wody na ląd, zachowujący spokój i godność wobec tych natarczywych uderzeń, w przeświadczeniu ich bezsilności.

ST. JAŚ

St. Zeromski:

„W jednej godzinie smutku lepiej poznamy świat i Boga, niż przez rok szczęścia“;

Na straży wschodnich rubieży

Uroczyście obchodziliśmy chwilę przyłączenia Zaolzia do Macierzy. Z dumą spoglądaliśmy wstecz w uroczysty dzień 20-lecia Niepodległości, wspominając dzieło Wielkiego Marszałka Polski, który zbudował Polskę na silnych i trwałych fundamentach. Fundamentami tymi ta silna i potężna Armia. W dniu 11. XI. gorzały oczy nasze, gdyśmy patrzeli na naszych żołnierzy wyszkolonych, karnych, dobrze uzbrojonych. Dziś zwróćmy oczy nasze na wschód, tam gdzie w błotach Polesia, czy gęstych puszczech Wileńszczyzny, czy na urodzajnych polach Podola czuwa żołnierz polski, żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza, następca dawnych zagończyków.

Pomimo zawarcia pokoju z Rosją bolszewicką i wytyczenia granicy, ludzie na Kresach Wschodnich żyli pod ciągłą grozą walk i napadów ze strony uzbrojonych band bolszewickich. — Wzdłuż całej granicy przemycano różne towary, złoto, druki komunistyczne. Agitatorzy czerwonej Rosji przechodzili do Polski przez granicę nie zatrzymywani przez nikogo. Dziś napady band dywersyjnych należą do rzadkości. Ludność kresowa może bezpiecznie orać, siać i zbierać plony. Bo oto w listopadzie roku 1924 objął straż nad granicą wschodnią Korpus Ochrony Pogranicza (K.O.P.). Dziś liczy K. O. P. sześć brygad i obejmuje całą granicę bolszewicką, litewską i łotewską na przestrzeni 2 000 kilometrów (1 412 + 485 + 103), co stanowi $\frac{2}{3}$ granic Rzeczypospolitej.

Na czele K. O. P.-u stoi generał brygady J. Kruszewski. Przed kopem leżą trzy zadania: ochrona granicy, praca kulturalno - oświatowa wśród ludności kresowej, normalna praca żołnierska nad ćwiczeniem i kształceniem rekruta. Wszystkie trzy prace rozwijają się pomyślnie. Strażnice pograniczne stają się ośrodkami życia dla ludu okolicznego, który chętnie przychodzi na zabawy, ogniska, pogawędki i wykłady. Jak ważną rolę odgrywają te placówki państwowości polskiej zrozumiemy, jeżeli przedstawimy sobie nędzę i ciemnotę ludności kresowej i ich, często wrogi, stosunek do naszego państwa.

W ciągu czternastu lat stosunek ludności do K.O.P.-u poprawił się. Żołnierze K.O.P.-u budują szkoły, otwierają świetlice, pomagają przy budowach kościołów, urządzają obchody i rocznice. Poza tym odbywają normalne ćwiczenia wojskowe, uprawiają sporty, czytają i kształcą się. Dobrze jest im na granicy. Każdego, kto przybędzie do nich, witają serdecznie, pytając, co słyhać w rodzinnych stronach.

Wspomnijmy choć przez chwilę o tych, co hen, nad Zbruczem, nad Dźwiną, czy nad Niemnem w zapadłych wioskach, lub w głuchych puszczech, wolnym, miarowym krokiem patrolują granicę...

MARIAN DOLATA, lic. mat.-fiz.

Mierzenie temperatur

Umiejętność dokładnego określenia temperatur różnych ogrzanych i rozpalonych ciał zależy przede wszystkim od warunków, w jakich robimy pomiary. Inaczej będziemy mierzyć temperatury wysokie, a inaczej niskie; innych przyrządów będziemy używać do mierzenia temperatury rozpalonego żelaza a innych do mierzenia temperatury ogrzanej wody. Określenie temperatur niższych nie jest rzeczą trudną praktycznie. Gorzej będzie mierzyć temperaturę w piecu hutniczym czy w łuku Volty. W przemyśle żelaznym, najbardziej prymitywnym sposobem jest mierzenie przy pomocy barwy rozpalonego żelaza. Tak np. wiemy, że gdy żelazo posiada kolor ciemno - czerwony, jego ciepłota sięga około 700°C i gdy jest sinawo - białe posiada wtedy temperaturę około 1500°C . Takie mierzenie temperatury wymaga jednak bardzo wielkiej wprawy i nie jest ono zbyt dokładne. Już znacznie dokładniej można zmierzyć temperaturę przez zastosowanie przyrządów. Pomocami takimi w technice są: termometry krzenowe (stożki Segera) i elektryczne. Termometry rtęciowe wystarczają nam tylko w granicach od -30°C do $+360^{\circ}\text{C}$. Dla temperatur niższych stosuje się termometry spirytusowe a dla wyższych termometry ze szkła borokrzemowego, napełnione azotem i kwasem węglowym. Granicą dla tych termometrów jest 600°C . Wyżej mierzymy już stopień nagrzania przy pomocy t. zw. stożków (czopków) Segera. Są to piramidki wysokości 3 cm. zrobione z mniej lub więcej topliwych stopów krzemu. (Stopy metali się nie nadają.) Każdy czopek posiada na podstawie wybitą temperaturę topnienia. W czasie pomiaru czopek, którego temperatura topnienia jest zbliżona do temperatury ciała badanego, topi się. (Normą jest pochylanie się czopka). Sposób ten jest prosty i łatwy do wykonania technicznie. Obecnie stożki Segera są jeszcze w użyciu, ale jeszcze więcej praktyczną jest metoda elektryczna. Jest ona bardzo wygodna i więcej dokładna. Termometr elektryczny zbudowany jest na tej zasadzie, że w dwóch drutach z różnych metali (z wyjątkiem ołowiu), połączonych ze sobą przez zlutowanie, powstaje prąd elektryczny przez podgrzanie w miejscu połączenia. Prąd ten rośnie wraz ze wzrostem nagrzania. Do pomiaru tego prądu używa się bardzo czułych galwanometrów, ze względu na jego małe natężenie, przy czym zamiast skali dla natężeń mamy od razu skalę Celsiusza. Tak więc galwanometr pokazuje nam temperaturę ciała badanego. W praktyce używa się t. zw. termoelementu, gdzie jeden drut jest platynowy, a drugi jest stopem platyny z rhodem. Końce tych przewodów są stopione w kulkę. Od tej kulki przewody idą w rurkach izolacyjnych z gliny szamotowej.

Samo cechowanie termometru elektrycznego jest mocno zbliżone do cechowania termometru rtęciowego. Tylko, skrajne temperatury są tutaj znacznie wyższe. Do cechowania używa się kilka temperatur znanych. Zwykle bierze się temperaturę topienia glinu i siarczany potasu (625°; 1 015°C). Zagadnienie pomiaru ciepła postępuje wciąż naprzód. Obecnie nie wystarczają nam przyrządy wyżej opisane, nie wystarcza nam ich dokładność. Chemia w głównej mierze używa ciepła jako czynnika ważnego przy różnych procesach. Ciepło wkradło się do wszystkich dziedzin życia jako jego podstawa. Dlatego dobre poznanie sposobów pomiaru ciepła zapewnia nam największe zdobycze techniki.

SZYMAŃSKI HENRYK, lic. mat. - fiz. kl. I.

KĄCIK HARCERSKI

Red. Tadeusz Z. O. Nabzdyk

Wrzątek

Pomimo braku harcówek, drużyny nasze, jak zwykle zresztą, gorączkowo pracują. W odróżnieniu od lat dawnych, obie drużyny: „Dąbrowski“ i „Zan“ działają wspólnie i dotychczasowa rywalizacja zamieniła się na owocną współpracę.

I tak: w drużynach przeprowadza się kurs zastępowych. Nad kursem tym pracują dh. ref. prof. Ciećkiewicz i dh. opiekun prof. Buchalik. Odbywają się próby na wszystkie stopnie, od młodzika do Harcerza Rzeczypospolitej włącznie. Urządzono bieg na wywiadownicę a w 20 rocznicę odzyskania Niepodległości odebrano próbę młodzika.

W obydwu drużynach niezwykle jest ożywiona korespondencja: „Dąbrowczacy“ korespondują z Polakami we Francji a „Zanowcy“ ze skautami — Francuzami.

Wynikiem zapewne tej korespondencji jest zaproszenie, które otrzymały drużyny gimnazjalne od Francuzów. Francuzi zapraszają na zwiedzenie Francji (Paris, Ile de France...) oraz na obóz letni w Alpach.

Należy wspomnieć o dwóch „galówkach“: Dąbrowski z uroczystą miną oczekuje na obchód 20-lecia swego istnienia (18 grudnia). — O tym obszerniej napiszemy w przyszłym numerze. — „Zan“ zaś zamierza mianować ks. Roubineau, kapelana znajomych z obozu harcerzy francuskich, honorowym kapelanem drużyny a szefa tychże skautów Jean Daric honorowym drużynowym. Nominacje te będą pięknym gestem zacieśniającym węzeł skautowej przyjaźni.

Oprócz drużyn harcerskich w naszym gimnazjum pracuje teraz nowa formacja — skauci. (Bliżej ze skautami zapoznają się Czytelnicy w artykule „Na nowym szlaku“). Nasi skauci dzielą się na 3 zastępy (Z. Michalak, F. Rainert, T. Nabzdyk).

Oficjalny początek roboty skautów stał się skromną uroczystością: W 20 rocznicę odzyskania Niepodległości (11. 11.) drużyna skautów odbyła wieczorną wycieczkę do podmiejskiego lasku, z udziałem dha kom. ks. prof. L. Ziemskiego i dha ref. prof. Ciećkiewicza. W braterskim nastroju zapaliliśmy pierwsze ognisko, w gawędach dha kom. i dha ref. zapoznaliśmy się z oczekującą nas pracą na nowym placu boju. Pracę tę będziemy wykonywali po — skautowsku!

Harcerze pracują, skauci pracują, harcerze i skauci stworzyli „wrzątek“ pracy.

REDAKTOR KĄCIKA.

Na nowym szlaku

Lasek dziwnie odświeżnie wyglądał w tę noc gwiazdową. Na środku polanki wesoło igrał płomień ogniska nie rozumiejąc poważnego nastroju. Rozumiały go poważne twarze „skautów“ których oświetlone sylwetki odcinały się od tonących w ciemności świerków.

Jasno rysowały się kierunki dróg, którymi potoczyć się praca w nowych formach organizacyjnych ułożona według nowego programu, kreślona kilkoma słowami przez dh. referenta i zawierająca cenne wskazówki.

„Skauci“ będą pracowali konkretnie i celowo a nie „na niby“ (jak do tego czasu) a praca nastawiona będzie pod kątem widzenia praktyczności i przydatności życiowej. Celem naszym to praca społeczna i służba dla bliźnich, a czynnikiem kierującym to zasada zbiorowości pracy i współpraca. Zastępowy niczym nie wyróżniający się nie jest „dyktatorem“. Odpowiedzialność za zbiórki ciąży na wszystkich, na każdym członku zastępu. Zbiórki zaś będą pełnotematowe, dyskusyjne, techniczne i okolicznościowe. Żywe dyskusje, „pranie sumień“, specjalności — oto ich treść. Wydoskonalimy się wewnętrznie pracując nad sobą i znajdując swe miejsce w społeczeństwie.

Błyszczą oczy na myśl wycieczek i włóczęg latem a „wieczorów klubowych“ zimą. Czujemy wyraźnie, że tworzymy silną i zwartą grupkę i skupione twarze trwają utkwione w mówiącego dh. Komendanta (ks. prefekta). Płyną słowa gawędy.

Wyodrębniono „skautów“ w osobne jednostki organizacyjne, aby wnieść w życie harcerskie nowe wartości i nowe osiągnięcia. Zbiórki „skautów“ to nie gra. Mają jeden wyraźnie wyty-

czony cel i temat zostawiający po sobie konkretny ślad. Omawiamy na zbiórkach kulturalno - społecznych zagadnienia społeczne a ćwiczymy się na zbiórkach technicznych. Zajęcia traktujemy poważnie i rzeczowo (przecież wszyscy jesteśmy „starszymi harcerzami“). Oczywiście zbiórki nie nabiorą wyłącznie charakteru nudnej powagi i nie braknie na nich gier towarzyskich, wesołości i śpiewu. To już nie te zbiórki, zabawa i karność oparta na nakazie zewnętrznym i wszystko wykonywane pod czujnym okiem zastępowego, autora i realizatora pracy. Stopnie zdobywamy indywidualnie.

Wkraczamy na nowy szlak, może usiany trudnościami, ale zawsze gotowi. W dzień, w którym płoną ogniska „skautów“ w całej Polsce rozpoczynamy naszą pracę skautową.

ZDZISŁAW MICHALAK.

Harcerze!

Nie rozbłykanych krzyżów awans
Na piersi wasze głowę złoży —
Ale złociste blaski zorzy
Uwiją wawrzyn dla was —

Czerwono - rdzawy płomień słońca
Rozpali waszych serc ognisko —
Rozgorze się w nim dobre — wszystko
Spopieli się w nim wszystko drzące.

Bo tylko jasnym i szlachetnym
Musicie tutaj być proporcem —
I orać skiby w życia orce,
Aż łąn wyrośnie kwietny...

Hen... kiedyś... gdzieś po latach wielu
Z waszej się krwi narodzą syny,
I muszą także być bez winy
I tylko — iść — do celu! —

I niech im piersi też nie strzeże
Złotych orderów — wawrzyn chwały —
Ale harcerski krzyż zszarzały —
Harcerze! o! Harcerze!! —

REISING RYSZARD.

St. Żeromski:

„Dwa pragnienia chęć mają nieziszczoną, sprzeczną:
Boleść chce być chwilową, radość chce być wieczną!“

Samomyślenie

(Wolny przekład z niemieckiego)

Jeżeli wielka biblioteka jest nieuporządkowana, przynosi znacznie mniej pożytku niż mała, ale w doskonałym porządku; tak samo jest z uczonymi: wielu uczonych, nie myślących samodzielnie ma mniejsze znaczenie niż garstka, u której podstawą jest samomyślenie. Swoją własną wiedzę można zdobyć dopiero przez wszechstronne obmyślenie tego, co się wie, przez porównanie jednej prawdy z drugą. Myśleć można tylko nad tym, co się wie (z tego powinno się uczyć); wiedzieć zaś można znowu tylko to, co się przemyślało.

Do czytania i uczenia można się *hągić*; do myślenia zaś nie. Musi ono być podniecone i podtrzymywane przez zainteresowanie do czegoś. Zainteresowanie to może być wywołane przez rzeczy, związane z naszą osobą; są jednak jednostki obdarzone nim przez naturę, u których myślenie jest tak naturalne jak oddech (naturalnie nie częsty).

Wprost nieprawdopodobną jest różnica między wpływem, jaki wywiera na ducha czytanie a samomyślenie. Czytanie narzuca duchowi kierunek i nastrój, do którego on w danej chwili nie jest zupełnie usposobiony. Przeciwnie przy samomyśleniu: duch dąży wtedy za swoim własnym popędem, jaki wywiera zewnętrzne otoczenie lub jakieś wspomnienie. Uchwytne otoczenie nie nasuwa tak jak czytanie tylko jednej myśli, lecz dostarcza bogatego materiału, dostosowanego do chwilowego nastroju.

Dlatego też obfitość lektury odbiera duchowi elastyczność; najpewniejszym zatem środkiem, aby nie mieć własnych myśli jest w każdej wolnej minucie książka pod ręką. Ta praktyka jest powodem, że uczoność robi wielu ludzi jeszcze bardziej bezdusznymi (geistloser) i niż są z natury i pozbawia ich dzieła (książki) całej korzyści.

Uczonymi są ci, którzy siedzieli w książkach; myślicielami zaś, geniuszami ci, którzy bez pomocy książek zrozumieli świat.

Spolszczył **TADEUSZ RAJSKI**.

Saint Cornély a Cornac

Karnak posiada stary kościół, poświęcony Świętemu Kornelowi, opiekunowi zwierząt. Co rok, w drugą niedzielę września, w dniu odpustu w Karnak, wieśniacy bretońscy przypędzają

tam swe bydło. Przed sumą stada gromadzą się przed wejściem do kościoła: duchowny wychodzi z wielką uroczystością z krzyżem i chorągwią i poświęca zwierzęta. Po poświęceniu, stado jest prowadzone na rynek, gdzie się je sprzedaje.

Oto legenda, którą ludzie opowiadają, aby wyjaśnić pochodzenie zwyczaju:

Święty Kornel był papieżem w Rzymie, skąd został wypędzony przez żołnierzy pogańskich. Uciekał on z dwoma wołami, które niosły jego bagaże i jego samego, kiedy był zmęczony. Maszerował bardzo długo i zauważył przed sobą morze. Zawrócił więc i spostrzegł za sobą ustawionych do bitwy żołnierzy, którzy go ścigali. Więc Święty Kornel zatrzymał się i zamienił ich w kamienie. Oto dlaczego widzi się na polach Karnaku długie szeregi wysokich kamieni, sterczących z ziemi.

W miejscu, gdzie Święty Kornel się zatrzymał, mieszkańcy wzniesli kościół, gdzie obchodzi się uroczystość Świętego. Liczni ludzie potwierdzają, że jeżeli nie spędzi się zwierząt na odpust, one przybywają tutaj same.

Z francuskiego przetłumaczył LEONARD ROGACKI

RECENZJE — SPRAWOZDANIA

Na XX-lecie L. M. K.

Wśród licznych organizacji społecznych, jedną z najpożyteczniejszych jest Liga Morska i Kolonialna, która liczbą swych członków, swoimi celami i swoją pracą przewyższa nawet inne towarzystwa.

Walczy ona bowiem o utrwalenie panowania Polski nad Bałtykiem, o silną flotę wojenną i handlową, o kolonie, zwalcza zakusy Niemiec, usiłujących zakwestionować polskość Pomorza, utrzymuje łączność z wychodźstwem, dba o naprawę dróg śródlądowych, a przez morskie wychowanie młodzieży pragnie szerzyć w społeczeństwie znajomość spraw morskich.

Teraz upłynęła dwudziesta rocznica założenia tej organizacji i aby pokazać, ile już uczyniła, skrócę pokrótce jej historię.

Została założona 1 października 1919 r. przez kontradmirała K. Porębskiego i 25 marynarzy, jako „Bandera Polska“.

Na drugi rok, w maju, ukazuje się pierwszy numer miesięcznika „Bandera Polska“, a w czerwcu organizacja ta przekształca się w „Ligę Żeglugi Polskiej“. Liczba członków tegoż roku dochodzi do 2 000.

Dnia 21 stycznia 1924 r. rozpoczyna Liga wielką manifestację o prawa Polski w Gdańsku i rozbudowę Gdyni. Wtedy rozpisuje Liga konkurs na plany rozbudowy naszego portu.

W kwietniu następuje reorganizacja „Ligi Żeglugi Polskiej” i zmiana nazwy na „Liga Morska i Rzeczna”, a w listopadzie ukazuje się po raz pierwszy miesięcznik „Morze”. Liczba członków szybko wzrasta i dochodzi do 5 600.

Od roku 1928 „Liga Morska i Rzeczna” interesuje się także sprawami kolonialnymi, którym specjalnie zajął się „Związek Pionierów Kolonialnych” — sekcja Ligi.

W dwa lata później, bo 25 października 1930 r. „Liga Morska i Rzeczna” zmienia nazwę na „Liga Morska i Kolonialna”. Pracuje ona coraz więcej, a liczba jej członków dochodzi do 28 000. Tworzy teraz fundusz na potrzeby akcji kolonialnej, urządza pierwsze „Święto Morza” i zaczyna zbiórki na F.O.M.

W r. 1934 ukazuje się nowe pismo Ligi „Polska na morzu”, a w roku 1935 „Szkwał”, pismo poświęcone wyłącznie sprawom żeglarskim.

Urządza się liczne kursy żeglarsstwa śródlądowego, a nad jeziorem Narocz powstaje ośrodek żeglarski, który co roku zapoznaje młodzież ze sztuką żeglarską. Pieniądze zebrane na F.O.M. przeznacza Liga na rozbudowę floty. Z sum F.O.M.-u zbudowano okręt podwodny „Orzeł”.

Dzisiaj liczba członków wynosi 827 829, a jeżeli Polacy zostaną o sprawach morskich uświadomieni dokładniej — to wzrośnie do milionów.

JAN CZAK JAN

„Bracia Lerche”

W początkach listopada teatr Kaliski im. Bogusławskiego odegrał w Ostrowie sztukę wielkiego poety - Kaliszanina — A. Asnyka, p. t.: „Bracia Lerche”. Widocznie w ten sposób pragnie Kalisz uczcić swego poetę i więcej go dać poznać ogółowi.

Jako miłośnik teatru udałem się na tę komedię. Wszedłem, spodziewając się już nie znaleźć miejsca, gdyż sądziłem mylnie według „Dożywocia” Fredry. Jakież ogarnęło mnie zdumienie, gdy zobaczyłem salę prawie pustą: na przodzie siedziało tylko kilkadziesiąt osób i to przeważnie młodzieży szkolnej, czekając przy półgłośniejszej rozmowie na rozpoczęcie przedstawienia. Rzeczywiście! Takiego niezrozumienia dla teatru się nie spodziewałem. Czemu to przypisać? Na to niech sobie już każdy odpowie. Ja jedynie stwierdziłem fakt, że w porównaniu z „Dożywociem” Fredry, jeśli przyjmiemy je za 100 pct powodzenia, frekwencja na „Braciach Lerche” wynosiła około 20 pct. Jedynym słowem: sala była prawie wyludniona.

Po chwili kurtyna podniosła się i rozpoczęła się sztuka. Ukazują się różne postacie. Są Niemcy i Polacy. Ci ostatni skupiają się w starej, polskiej, szlacheckiej rodzinie Radwanów w maj. Dębiec. Z drugiej strony Niemców przedstawiają bracia Lerche: Otto i Stefan. Pierwszy z nich, to czysty typ bismarkowskiego Prusaka - hakatysty; drugi zaś jest b. inteligentny, grzeczny i szlachetny.

Ci dwaj Niemcy pragną kupić majątek Radwanów; dlatego Otto chce ożenić Stefana z Polką — szlachcianką. Właśnie koło problemu

małżeństwa skupia się cała akcja. Jest to dla niej niejako punkt wyjściowy. Obok tego problemu rozwija się jeszcze inny, z nim złączony. Jest to hasło pruskie: „ausrotten“ (wykorzenienie) Polaków z ich ziemi przez Niemców. Jest to uboczny problem, choć niemniej ważny. Jądrzem całości — jak już wspomniałem — jest małżeństwo, dzięki któremu istnieje możliwość uratowania majątku Radwanów. Małżeństwo jednak nie dochodzi do skutku. Zrywa je dziadek Radwanów, który uważa to za największą hańbę dla swej rodziny. Z goryczą wypowiada słowa takie: „że jego wnuczka sprzedana za Niemca, że jej dzieci będą Niemcami, dążącymi do zgubienia Polski.

Jest to chwila — według mnie — najważniejsza, która dokonuje zwrotu w całości sztuki. Następnie słyszy się groźby Ottona Lerche, który jest zły za wymknięcie się zwierzyny z jego niecných sideł. Złość ta jednak wkrótce ustępuje cichej żalości a to z powodu wyrzeczenia się własnej ojczyzny i tym samym własnego brata przez Stefana Lerche. Stefan widział potęgę Niemiec, widział rozmach, ale z drugiej strony, jako człowiek nadzwyczaj szlachetny, widział nieludzką, nieszlachetną dążeniach swych rodaków. Dlatego wyrzekł się ojczyzny a przyjął nową: Polskę, jeszcze nieistniejącą. Ten zwrot Stefana Lerche powoduje kilka komplikacji i zmian w rodzinie Radwanów. Całość jednak kończy się szczęśliwie małżeństwami p. Ireny, córki właściciela majątku ze Stefanem i p. Dziuni, przybranej córki Radwanów z p. Juliuszem, sąsiadem rodziny Radwanów. Problem tego, t. zw. „ausrotten“ został — według mnie — rozstrzygnięty. Majątek uratowano. Mamy jeszcze jednó zagadnienie w sztuce, mianowicie problem romantyzmu i pozytywizmu. Czas, kiedy akcja się toczy, to okres przełomowy. Romantyzm jest już w zaniku, pozytywizm zaś w rozkwicie. Jeśli wspominam o przełomie tych dwu prądów, to mam na myśli Polaków. Trzeba to odróżnić, bo Niemcy już przeszły ten okres.

A teraz, co do samych aktorów. Przyznam się, że wcale nie spodziewałem się tak pięknej gry. Artyści z Kalisza, pod względem wykonania, w niczym nie ustępowali aktorom poznańskim. Szczególnie wyróżniali się dwaj bracia Lerche i przybrana córka, Dziunia, choć i reszta grała dobrze. Te trzy osoby, szczególnie idealnie wczuły się w swoje role, dając piękny obraz gry na scenie. Jednak, o ile gra aktorów była wspaniała, o tyle scena i jej urządzenia były fatalne. Trzeba podkreślić moment przykry, jaki miał miejsce w czasie przedstawienia. Mianowicie na kilka minut zgasły światła. Scena i sala zostały pogrążone w ciemnościach. Grę oczywiście przerwano i dopiero po chwili na nowo rozpoczęto.

Tę niemiłą niespodziankę zapomnieliśmy niebawem, przypatrując się grze i przeżywając uczucia aktorów. Właśnie oddanie ról i treść podniosły wartość tej cennej sztuki. Takich dzieł, dó jakich należą „Bracia Lerche“, powinno się więcej ujrzeć.

A zatem do zobaczenia na następnym przedstawieniu!

A. KOSIK

**BIBLIOTEKA T. T. Z. OTWARTA CO SOBOTĘ O GODZ 17
W ŚWIETLICY.**

Nakł.: T. T. Z. przy Państw. Liceum i Gimnazjum Męsk.

Odbito w Drukarni „Orędownika Ostrowskiego“ — Ostrow.

Nieogarniony

K. Kurpiński

CREDO

Wierzę w jednego Boga
przedwiecznego,
Ojca, co wywiodł z niczego
I syna Jego jednorodzonego,
Co stąpił z nieba, ludziam dla
zbawienia.

OFFERTORIUM

Ojcie przedwieczny, przyjmij
tu złożone
Święte ofiary chleba oraz
wina.
One zostaną wkrótce przemie-
nione
W najświętsze Ciało i Krew
Twego Syna.

BENEDICTUS

Oto Bóg z nieba, usły kapłan-
skimi
Sprowadzon do nas, niech
włóć brzmi hymn nowy.
Mowmy z działkami jerozo-
limskimi:
Hosanna Tobie, Synu Dawi-
dowy.

SANCTUS

Bogu zastępów, władcy nad
wojskami,
Którego chwala cały świat
objęty,
Łącząc swe głosy ze Serafi-
nami,
Jemu śpiewajmy: *Święty, święty, święty.*

Panie w nadmiarze wielkiej
 Twej miłości
 Karmisz nas grzesznych świę-
 tym Ciałem Twoim.
 Uczyń nas godnych, odpuść
 nasze złości,
 Baranku Boży, obdarz nas
 pokojem.

COMMUNIO

Dla nas na krzyżu srodze
 umęczony,
 Który pod chlebą, winą jesteś
 postacią
 Jesteś na pokarm duszy
 ułajony,
 Baranku Boży, zmiłuj się nad
 nami.

AGNUS DEI

ITE MISSA EST

Błogosław, Boże, Ojcie dobro-
 tliwy,
 My wszak Twe dzieci, udzielaj
 nam chleba.
 Obdarzaj zdrowiem, żywot daj
 szczęśliwy,
 Przyjmij po śmierci z święty-
 mi do nieba.

Chwała Ci, Boże, na wysokim
 niebie.
 Pokoj zaś ludziom cnotliwym
 na ziemi.
 Ciebie wielbimy, błogosławim
 Ciebie,
 Tobie cześć niesiem głosy
 złączonymi.

GLORIA

Nieogarniony całym światem,
 Boże,
 W tym tu przybytku przy-
 mij od nas dary.
 Lecz, cóż Ci grzeszne plemię
 już dać może?
 Przyjm Syna Swego podczas
 tej ofiary.

INTROIT KYRIE